

JOHN ANTOINE NAU.

PAMIĘTNIK WARJATA

:: POWIEŚĆ ::

CZĘŚĆ DRUGA.



:: ŁÓDŹ ::

Nakładem „N. Kurjera Łódzkiego”.

:: 1912. ::

K-74/12863
18, 11, 75,
(cz. 1-3)



CZEŚĆ DRUGA.

I.

Szał widocznie ogarniał mię znowu; po nim, jak zwykle, nastąpił okres senności.

Gdy przyszedłem do siebie, leżałem na łóżku, zakopany w pościeli po uszy. Nie byłem sam. Obok łóżka, w ruchliwym blasku świecy, siedział Leonard, zajęty czyszczeniem kapelusza, formy melonka, jasno popielatego w takim stopniu, że wydawał się prawie biały, podobny do jasnej kopuły meczetu. Silny zapach benzyny napełniał pokój.

Mój dozorca miał wyraz twarzy tak poważny i przejęty zadaniem swojej pracy, a zarazem tak głupowaty i zadowolony, iż z oczyma zmrużonemi i wysuniętym językiem wyglądał karykaturalnie, i w pierwszej chwili gotów byłem wybuchnąć nagle głośnym śmiechem.

Ale wspomnienie własnej głupoty stanęło mi w pamięci i uderzyło niby nożem w ser-

ce. Ach! ślicznie skorzystałem z najlepszego usposobienia doktora Froin'a. W chwili, gdy ten zacny człowiek zaczynał wreszcie wierzyć, iż jestem uzdrowiony, ogarnęło mnie to śmieszne opętanie i rozpocząłem okres nowych ćwiczeń! Jakiż idjota ze mnie! Czyż nie mogłem, czując nawet ten nieznanym obłęd, cierpieć w milczeniu i ukrywać trwogę, zamiast w tak głupi sposób stracić wszystko z powodu braku siły i panowania nad sobą!

Ale to samo powtarza się zawsze. Widzę to i z własnego doświadczenia i z uwag doktora Magne'a. Warjat, rozumujący logicznie, lub półwarjat, który podlega tylko przejściowym atakom, wie doskonale, kiedy popełnia błąd niedarowany, cofa się, chce się wstrzymać, wykręcić, uniknąć, i popełnia to głupstwo, mówi, lub robi to, czego zrobić i powiedzieć nie chciał. Nic nie może. Jest ofiarą wrogiej siły, o której mówił nieszczęśliwy Mabire.

Doznawałem bolesnej ciekawości, jakie sprawię wrażenie na doktorze Froin. Kaszlę, poruszam się, odrzucam gwałtownie przykrycie, które mnie dusi — Leonard żadnej na to nie zwraca uwagi. Nakoniec wołam głośno:

— Leonardzie!

Mój dozorca z niezmierną ostrożnością

przesuwa właśnie płócienny gałganek, umaczany w benzynie, po wierzchołku białawego kapelusza, mruczy coś i odwraca głowę w moją stronę.

— Co powiedział doktor Froin, Leonardzie? Nie będzie mię uważał za uleczalnego po podobnym ataku?

— Nie! Nie! Mówił tylko, że na chorego byłeś pan żanadto wzruszony i że to szpawiło rodzaj... Hali-Luczy-Naci (nie wiem, czo to takiego), ale to przeńdzie, przeńdzie. Powiedział, że to było żanadto „felomenalne“. Że taka rzecz nie może usztalić się w mózgu, że szam nicz podobnego jeszcze nie widział w życiu, że tylko szłyszał o takich wypadkach. Zresztą, że to przeminie, i wszystko będzie dobrze, że mogę jechać jutro „w szprawie“, a ktokolwiek, Franciszek np., może żosztac z panem aż do mego powrotu, bo pan będzie żnowu zupełnie szpokojny. Dlatego oczyściłem szwój melonik.

Przenikliwość doktora nie była mi wcale przyjemna, a przepowiednie jego nie sprawdzały się jakoś: halucynacja (jeśli to halucynacja!) nie minęła i nie myślała mię opuszczać. Czułem to doskonale i wyraźnie, że już nie jestem „sam w sobie“. A jakże wytłómaczyć to, co czułem? Byłem nawiedzony przez istotę obcą, której obecność czułem w sobie. Była ona nieżnośna nawet

wtedy, gdy nie dręczyła mnie gwałtami, jak podczas wizyty doktora Froin'a. Zagnieżdżyła się we mnie już od kilku godzin, ale teraz przemawia po raz pierwszy. Czyż mam prawo powiedzieć, że przemawia? Ona nie ma głosu! Ale zmusza mię do wymawiania wyrazów... niekiedy bardzo dziwnych... które tłómaczą jej myśli. W tej chwili najdokładniej rozróżniam jej rozkaz:

— Spytaj tego idjoty, w jakiej sprawie i gdzie go wysyłają!

I machinalnie badam Leonarda:

— Po co wysyłają cię jutro?

— Mam przywieźć matkę Charlemaine'a, jak się szpodziwialiśmy.

Więc jedziesz do Cany?

— Nie. Pobila się z sąsiadami, którzy nie byli dla niej litościwi, i uciekła do Villieville, gdzie mieszkajom jej krewni. Doszła się tam w koszuli i kawałku podartej szpódnicy, czo ją wiatr poszarpał, jak sztary paraszol. Żrobiła im jakąś szczenę i napiszali żaraż, żeby po niom przyjechać, bo się bojom szami jej przywieźć.

— A kiedy jedziesz?

— Jutro o piątej z rana. A teraz blisko północz; kapelusz mam czysztzy, czasz szpać. Pan pewnie szpiący i ja tyż. Dobranocz, panie Venly! Jutro, nim wyjadę, przyprowadzę panu Franciszka, żeby pan szam

nie zoszał na przypadek, gdyby pan czego potrzebował. Czy zosztawić panu światło?

— Nie, dziękuję... dobranoc!

„Sam nie został!” On nie wie naturalnie, że mam towarzystwo. Wolałbym może inne, ale trzeba zadowolić się tem, co nam dano.

Źle zrobiłem, nie żądając światła. Stałem się nagle lękliwy, i zdaje mi się teraz, że mniejbym się obawiał w jasno oświetlonym pokoju, niż w tej czarnej ciemności, w jakiej mię pozostawiono.

Bać się? Czego? Tak, boję się istoty, która mię opanowała i która pewno teraz mówić będzie znowu.

Rzeczywiście: zamykam oczy i widzę wewnątrz siebie coś ohydneho, coś nieopisanego, niejasnego, lecz ohydneho! Przywłaszczyciel nasuwa mi znowu wyrazy i całe zdania:

— Zdziwiony jesteś, co? Nie widziałeś nic podobnego: człowiek, zamieszkany przez obcą istotę, jak robaczywy owoc! Masz swoje wyrażenia! Założyłbym się, że bierzesz mię za diabła i każesz się egzorcyzmować! Ach, ty bawole! krety nie! głupie ciele! To mię nie wypędzi! Nie!

Pytam go w myśl:

— Kto jesteś i co robisz we mnie?

— Wytlomaczę ci to, kiedy będziesz

mógł uważać. Nie zrozumiałbyś mię dzisiaj. Jesteś zmęczony i chory. Spij. Inaczej, zaczнеш znowu bawić się w cierpienie. Nie jestem na to czuły. Kpię sobie z tego, czy ci dobrze, czy najgorzej, ale nudzisz mię głupimi jękami, a co gorsza. cierpienia twoje mogą mi się udzielić. Mamy wspólny system nerwowy.

— Przeszkadzasz mi spać. Czuję, żeś moim wrogiem i to mi dokucza.

— Twoim wrogiem? Dlatego, że mówię ci prawdę, na którą zasługujesz? Dlaczego mam być twoim wrogiem, jeżeli mogę mieć z ciebie pożytek. Spij! Nie obchodzi mię twoje marzenia, nie będę się do nich mieszał.

Co za spokój i równowaga mieszczańska! Moznaby go wziąć w tej chwili za poważnego profesora, np. profesora nauk ścisłych i fizyki, pragnącego poprostu robić doświadczenia na danym „objekcie“. To go obchodzi, tamto nie obchodzi. Jestem mu na coś pożyteczny, jak dostawca dokumentów! Służę istocie bezcielesnej, która rozgospodarowała się we mnie, zanadto rozgospodarowała!

Ale przerywa moje rozmyślanie:

— Dosyć tego, będziesz sobie argumentował innego dnia lub innej nocy. Dzisiaj śpij, jesteś zmasakrowany i wyczerpa-

ny zupełnie. Jeśli wyobrażasz sobie, że mię bawisz? — mylisz się bardzo! Mózg masz tak ogłupiały w tej chwili, że trudno sobie wyobrazić!

Niezbyt długo był grzeczny. Okazuje się nanowo brutalem w bardzo złym guście. Mimo to, nie obawiam go się wcale. To, co kilka minut temu wydawało mi się tak ohydne, teraz ukazuje się jako mgła lekka, prawie jasna pośród ciemności, Czerwone i zielone światła, jak przypuszczam: wzrok widma (?), zniknęły czy zagasły. I on zmęczył się widać mojem życiem umysłowem, a przynajmniej jego widokiem, i odpoczywa teraz na swój sposób. Teraz zasną napewno, wtem...

Straszna, nieopisana wrzawa zrywa się wśród czarnej nocy, w powietrzu dusznem, ciężkiem, przesyconem elektrycznością.

Piekielne wycia i wrzaski płyną z jednego punktu — z pawilonu oddalonego... Czy być może? napewno! — z pawilonu kobiet!

Jest to wycie i zawodzenie, pełne niewysłowionej, nieskończonej rozpacz, groźny pomruk, zrywany przerażającym piskiem, który świdruje mi uszy i kości, przenika aż do szpiku, miauczenie kocie i ryki.

Wrzawa ustaje niekiedy, lecz na jedną sekundę, aby wzmódz się nanowo, bardziej dzika, okropna i szatańska. Serce mi się

rozdiera, pot zimny zlewa czoło, członki mam jakby sparaliżowane, zęby dzwonią, zgrzytają, jakby się miały połamać; czuję, że sam wyć będę.

Suchy trzask tuż nade mną, światło, i w otworze głowa Leonarda, jak widziałem ją po raz pierwszy. Na przeciwległą ścianę pada żółty odblask z krwawymi połyskami, a jednocześnie słyszę głos mego dozorczy, bardzo wyraźny i spokojny zarazem w tym zgiełku pełnym grozy.

— Nie trzeba szobie z tego nicz robić, panie Venly! To te „damy“ z przeciwka czują burzę... Żeby nie powóz, mój „melonik“ byłby jutro na śmietniku! To będzie chlapanina!

Wiedziałem dobrze, że to są „damy z przeciwka“, lecz wśród tych chaotycznych wrzasków rozpoznaję krzyk „subtelniejszy“, „ładniejszy“, niż inne, choć bardziej może okropny i dziki, który wydiera się z gardła „księżniczki“. Nie będę spał tej nocy: więc i ona wyje!

— Wszystkie wyją — odpowiada litościwie mój lokator. — Znam tę pocziwą kobietę!

— Bydlę!

— Tylko bez zniewag, bardzo proszę! Znam ją z obrazu, wrytego na twoim mózgu.

— Skoro zaczynasz nanowo rozmowę, choć nie proszę cię o to, może mi raczysz, przynajmniej powiedzieć, dlaczego mnie wybrałeś na narzędzie swego głupiego żartu? Chciałbym przynajmniej wiedzieć: kto ty jesteś i skąd się tutaj wziąłeś? Powiedz mi to jak najkrócej, ponieważ jestem przygnębiony i znużony.

— Strach nie zrobił cię przenikliwym, jak widzę, — przeciwnie!

— Jednem słowem: czy powiesz?

— Nic z tego nie zrozumiesz... Ale skoro żądasz, dam ci króciółkie wyjaśnienie, bardzo krótkie. Musisz wypocząć w moim własnym interesie, gdyż jak ci powiedziałem, zły stan twego zdrowia może być dla mnie źródłem przykrości i cierpień, muszę dbać zatem o twój lichey kadłub.

— Byłoby prościej, gdybyś go opuścił!

— Niezupełnie z własnego wyboru byłem zaszczycony twojem towarzystwem... Zresztą... pragniesz wyjaśnień?

— Proszę o nie.

— Więc słuchaj, będę zwięzły. Później dam ci szczegóły, teraz tylko treść główna.

— Zaczynajże!

— I owszem. Wiesz zapewne, że twoja planeta: zlepek błota i gliny, nie jest jedyną gwiazdą zaludnioną. Istnieją światy

wyższe od twojego—w dość znacznej liczbie; są i niższe,—te już prawie niezliczone. Są szczęśliwsze i nieszczęśliwsze, lecz nie podług ludzkich, a właściwie ziemskich pojęć. Taką jest także Tkoukra, gwiazda, skąd, pochodzę, a raczej planeta, należąca do systemu słonecznego, do gwiazdy, którą nazywacie: Aldebaran. (Widzę wyraźnie, że znasz tę nazwę Aldebaran, i czytam w twoim mózgu głupie wyobrażenia, jakie o niej u was istnieją). Moja planeta zatem należy do zaludnionych, a nawet jej mieszkańcy pod niektórymi względami podobni są do rasy ziemskiej. Jakkolwiek jednak rozwój umysłowy jest tam o wiele wyższy, niż na ziemi, mieszkańcy Tkoukry według waszych pojęć, skutkiem smutniejszych, dzikszych, pierwotniejszych warunków bytu, są—jakbyście wy określili — nieskończenie od was gorsi. Wielu z nas np. ma dar jasnowidzenia, nie wrodzony, lecz nabyty siłą woli i rozwagi, w celu poznania swej przyszłości, przynajmniej podczas bytu w bieżącym wcieleniu—na Tkoukra. A jednocześnie nie mamy sił, ani możliwości zabezpieczenia się od burz i niepogody, ani zdobycia sobie dostatecznego pożywienia, chyba w chwilach ostateczności, o czem pomówię z tobą innym razem, kiedy się ze mną już więcej oswoisz. Dziś nie chcę cię przera-

zać, i tak nie jesteś wcale zachwycony, że musisz dzielić ze mną swoje ciało!

Westchnąłem z rezygnacją.

— Bądź co bądź, — ciągnął dalej — chociaż nie mam prawa uważać się za jednego z najwyższych i najdoskonalszych przedstawicieli swojej rasy, jestem jednak dostatecznie wykształcony (co nie jest rzeczą łatwą w naszych ciężkich warunkach), i dosyć uzdolniony, aby wzrokiem przenikać czas i przestrzeń. Miałem też poważne bardzo wątpliwości co do zamiarów Stwórcy względem mego bytu, a przewidując, że chce mię uczynić narzędziem dla wypróbowania istnienia jeszcze nędzniejszego, choć wyższego odemnie umysłowo, postanowiłem umknąć przed tem przeznaczeniem i podstępem zdobyć sobie trochę szczęścia, przejściowego i względnego naturalnie, ale zaraz.

— Dzięki jasnowidzeniu, znałem trochę ziemię. Niewątpliwie istnieją światy lepsze i piękniejsze, ale nie mogłem się wcale spodziewać, aby mię tam przyjęto. Na tych światach istoty są albo zbyt silne i czyste, albo zwierzęco złośliwe i dzikie. Ziemia wydała mi się najodpowiedniejszą. Po wielu usiłowaniach i trudach udało mi się wreszcie uwolnić od swojego „astralnego ciała“ — według wyrażenia waszych magów... i utonąć w eterze, opuszczając

powłokę materjalną na pastwę lodowatych podmuchów północy i niewdzięcznego gruntu mojej gwiazdy. Może jaka istota nieszczęśliwa z twardszego jeszcze bytu skorzysta z niej, by tym sposobem cierpieć mniej, niż w kształcie własnym, umieszczonym w sroższych warunkach.

Takie było pierwsze litościwe słowo mojego gościa z Tkoukra.

— Po przybyciu na ziemię, a właściwie mówiąc, kiedy się unosiłem w waszej ziemskiej atmosferze, szukałem długo tego, co znaleźć pragnąłem: odpowiedniego ciała, aby je ukraść dla siebie. Tak, ukraść! Wolałbym przecie mieć cały organizm dla siebie, usuwając z niego duszę, lub biorąc go od takiej, która dobrowolnie udałaby się na dalszą wędrówkę. Tak postępują zawsze duchy wyższe, które wy nazywacie żywiołami. Na nieszczęście, prócz ciał kilku braminów i mędrców wschodnich, którzy bez ceremonji wyrzuciliby mię natychmiast po powrocie z chwilowej wycieczki, nie znalazłem zupełnie tutaj miejsc wakujących, chyba ostatnią nędzę. Jestem może brutalny, ale sprawiedliwy. Nie możesz przecież wyobrazić sobie, abym chciał dobrowolnie istnieć pod postacią starej anemicznej, schorowanej histeryczki, neuropaty, którego ciało jest rozklekotanym klawikordem cierpień,

lub zdechlaka, gotowego każdej chwili porzucić je na zawsze!

Zdecydowałem się zatem na podział. Lecz znowu od bieguna do bieguna nie znalazłem, nawet między podobnymi tobie, duszy tak pozbawionej zupełnie energii, tak miękkiej, nieodpornej, jak jest twoja...

— Pochlebiasz mi! lecz przesadzasz...

— Bardzo mało. Może nie szukałem tak długo, jak mówię, lecz pod względem stanu woli i umysłu wydałeś mi się najodpowiedniejszy. Fizycznie nie jesteś wcale rozstrojony, ani pozbawiony sił i sprężystości: choroba wyobraźni, niech tak będzie, to jeszcze nie inwalid! (Widzisz, jak piękne zwroty językowe wynalazłem już w twoim mózgu!) Wydałeś mi się przytem dobrym chłopcem, i przypuszczałem, że będziemy mogli pomieścić się jakoś razem. Przytem jesteś tak bezbronny, taki słaby, że chętnie względem ciebie będę lepszy, niż względem innych.

— Będzie dosyć na dzisiaj, prawda? Wiesz kto jestem, skąd przybyłem i dlaczego wynająłem mieszkanie u ciebie. Dodam jeszcze, że wyprowadzę się, skoro znajdę coś lepszego. Chcę poznać ziemskie życie i użyć go, ile można; twoja gościnność zatem jest dla mnie tylko złem koniecznem. Tym sposobem pozostaje ci

jeszcze nadzieja... Nie znasz mego imienia? Mogę ci je powiedzieć: w dźwiękach istniejących w twym „muzycznym pudle“ nazywam się Kmohoun. Wiesz już, że planeta moja, należąca do Aldebarana i niewidzialna przez teleskopy twego globu — nazywa się Tkoukra.

— Teraz, dobranoc!

* * *

Wbrew prawdopodobieństwu mogłem zasnąć, mimo straszego wrzasku, który, zdawało się, iż burzył mury przeciwnieległego budynku i zmieniał go w olbrzymią klatkę dzikich zwierząt, wyjących wśród ciemności. Straszny koncert trwał długo, gdyż miałem wrażenia, że piekielna muzyka męczy mnie nawet we śnie.

Nad ranem, nim rozwidniło się zupełnie, Leonard wszedł do pokoju, prowadząc Franciszka, mego chwilowego dozorcę.

II.

Mimo wieczornych zapowiedzi burzy, nazajutrz koło siódmej wypogodziło się zupełnie: złoto i szafir napęłniły przestrzeń; nabrałem też ochoty przejść się po ogrodzie.

Będę przechodził pod oknem „księżniczki“. Jeśli mi się uda przy tej sposobności przemówić do niej, jasny kwiat szczęścia zakwitnie mi w sercu na cały czas przechadzki; jeśli nie, będę cierpliwy, a zieleność, klomby, krajobrazy wielkiego parku, trawniki, łąki, pola murem otoczone, wszystko wyda mi się jaśniejszem, piękniejszem, w nadziei, że przemówię do niej, powracając.

W nocy miałem malignę i sny niespokojne: Kmohoun i Tkoukra nie istnieje, piekielnego wycia z pawilonu nie było, a jeśli nawet kilka bardziej chorych pacjentek urządzało niemiły koncert — (niestety, ich nieludzkie krzyki dotychczas brzmią mi w uszach)—ona nie należała do tego z pewnością. Prostu miałem silny atak obłąkania i przerażalem, teroryzowałem sam siebie. Piękne zadanie szaleńca! A Kmohoun? Dobry pomysł! Co za wyobrażenie! Zaczynam nowe odkrywać planety; niezaługo stanę się sławnym w tej klatce! Szereg złudzeń!

— Niezupełnie—odpowiada mi spokojnie Kmohoun głosem zimnym, okrutnym, którego dźwięki teraz rozróżniam fizycznie. — Złudzeń tak wiele niema ponieważ jestem stale przywiązany do ciebie lokatorem i z radością winszuję i tobie i sobie wybornego stanu zdrowia naszej budy. Teraz widzisz rzecz jasno; przyjem-

nie pozbyć się głupich uprzedzeń, nie potrzebuję cię pytać: jak się masz?—co jest w modzie nawet na Tkoukra!

Przyznaję, że rozpacz moja po tem wystąpieniu była tak silna i głęboka, jak przekonanie o istnieniu nieproszonego gościa. Więc odtąd będę wiecznie pod nadzorem, śledzony i szpiegowany przez istotę tak różną i obcą, niewątpliwie okropną. Nie będę mógł już nigdy uciec „sam w głąb siebie!” nie będę nigdy sam! Ostatnie schronienie, jakie duszy pozostaje, jakiego prawo nie może pozbawić przestępca i galernika, z którego korzystać może nawet pies obity, dla mnie przestało istnieć! Wiecznie mieć świadka, wiecznie, choćbym konał z bólu!

Jakżebyś pragnął uciec przed nim teraz, choćby na kilka godzin! choć na kilka minut!

— Jest na to sposób prosty—odpowiada mi Kmohoun:—możesz odbyć wycieczkę bez tej ciężkiej muszli. Podejmuję się w tem ci dopomódz; powiedz tylko, że tego pragniesz. Jedno słowo! Tym sposobem znajdziesz niejedno schronienie i nie jedną ucieczkę od mojej wiecznej obecności. Możesz z tego korzystać. Przecież nie wątpisz chyba, że po tylu walkach dla zdobycia tajemnicy rozłączenia się z własnem

ciałem, nie zapomnę jej nigdy. Możesz więc mię porzucić każdej chwili, odwiedzić swą księżniczkę i pozostać przy niej, póki ci się podoba. A gdy przyjdzie ci fantazja zamknąć się nanowo w swem więzieniu z ciała i kości, przyjmę cię z gotowością i bardzo uprzejmie. Od wczoraj zmieniłem zdanie: niechcę być przywłaszczycielem. Wolę ci pozostawić jakiś kącik w twojej posesji, gdyż inaczej zatrułbyś moje istnienie, krążąc dokoła w bezustannem narzekaniu: „Chcę powrócić do siebie! Oddaj mi moją własność!“ W takich warunkach nie miałbym spokoju i swobody. Możesz więc wyjść bez obawy, a za powrotem postaram się być bardzo grzecznym, usłużniejszym od niejednego odźwiernego, i nie każę ci nigdy „czekać pode drzwiami.“

Kmohoun istotnie w bardzo krótkim czasie zrobił zdumiewające postępy. W moim mózgu odczytał już wiele rozdziałów życia ziemskiego, znał nawet odźwiernych!

Ale nie o to chodzi. Więc jeśli zechcę, mogę kilka godzin spędzić z moją księżniczką bez zwrócenia uwagi dozorczyń! Będę zatem niewidzialny?

A jeśli Kmohoun mię oszuka? Jeżeli obojętny na moje błagania, zostawi mię w przestrzeni błędnym duchem? Ba! w grun-

cie rzeczy jestem tak zmęczony, że mogę mu zostawić bez żalu to ciało. W takim razie stanę się towarzyszem księżniczki, będę z nią nierozłączny, a jej miła, słodka obecność wynagrodzi mi wszelką krzywdę. Tym sposobem marzenie wielu zakochanych stanie się dla mnie rzeczywistością. Tyle wycierpiałem w tych ostatnich czasach! ból i trwoga zmieniły mię tak bardzo, że uczucie moje dla niej, idealne i platoniczne, jest przez to samo jeszcze rozkoszniejsze.

Moje wycieczki mogą być bardzo ciekawe!

.

Po namyśle rzekłem więc do Tkoukryńczyka:

— Owszem, pragnę uwolnić się na kilka godzin.

— Znam twoje myśli. Niezbyt pochlebne dla mnie, lecz nie mam o to do ciebie urazy. Idź, mój chłopcze! — powrócisz prędzej, niż przypuszczasz. Nie masz moich sił, ani woli. Zastaniesz mię każde chwili gotowym do ułatwienia ci „wejścia.“ Chcesz zaraz? Jak najchętniej! Najlepszym środkiem do zdobycia wolności ducha jest chcieć bardzo silnie oddzielić się od swojej części materialnej. Chcieć w pewien sposób, którego, którego nie umiem ci bliżej

określić. Trzeba umieć chcieć. Tę tajemnicę pewne jednostki zdobywają z czasem, lecz ty nie należysz do nich, panie Venly, jesteś za słaby na to. Muszę ci pomódz bardzo energicznie. Możesz jednak w każdym razie ułatwić mi to zadanie, pomagając choć tym drobnym zasobem woli, jakim rozporządzasz. Pomyśl o jakimś miejscu, np. o budynku naprzeciwko, i zapragnij być tam całą siłą!

To bardzo łatwo! Wszystkie marzenia moje tam mię niosą... Ale cóż ja odczuwam? Czy to strach dziwny, bez nazwy, bez granic?... Czy to gwałtowna radość? Może ból śmiertelny... łamiący... nieopisany? Co on zrobił?—nie wiem, ale to wstrząśnienie... zdaje mi się, że umieram...

Nie! Jestem swobodny! Unoszę się, skaczę fruwać nad ogrodem. Nie skaczę w rzeczywistości i nie fruwać, gdyż nie mam ciała, ale słyszę i widzę wszystko, jak gdybym posiadał zmysły.

W tej sekundzie prawie widzę przed sobą na łóżku śpiącą moją „księżniczkę,” ale jak zmienioną! Oczy nawpół otwarte, przewrócone, świeża cera przybrała barwę róży herbacianej, zsiniałe usta, skrzywione okropnym grymasem, odsłaniają białe zęby które zdają się zgrzytać. Jeszcze jest

piękna, lecz zarazem straszna! Doktor Froin i dozorczyńni rozmawiają, stojąc przy łóżku.

— Pan dochtór wie, co tak zawsze bywa na drugi dzień, kiedy w nocy som krzyki. Inszym to nicz nie szkodzi, som zdrowe bardzo prędko. Jeszcze o drugiej rano wrzeszczały, jak w piekle, a do śniadania, jakem Celestyna Bouffard, wyszły zdrowe, śmiejące, z dobrym apetytem. A panni Letellier to czo inszego: zaraz dostaje ataku i cały dzień tak się przemęczy, nim znów do siebie przyńdzie. I wczale nie dlatego, żeby więcej krzyczała—nawet mniej! Prawdę mówiący, nie często jej się to trafia, ale przebija głosem, jakby kto sztylet wszadził człowiekowi w pleczy...

— Znany baryton w muzyce Aubera—odzywa się szyderczo głos mi znany.

Jednocześnie spostrzegam na fotelu wdzięczną postać Bid'homme'a, którego zasłaniały dotychczas biodra i potężne bary niezwykłych rozmiarów panny Celestyny Bouffard.

(Celestyna Bouffard? Czy nie o niej mówił coś ten podpalacz Auzoux, wspominając o „zajmującej rozmowie” dozorczyńni za „beczką B.”?)

Aha! nareszcie widzę doktora Froin w gniewie!

— Bądź pan łaskaw gdzieindziej popisywać się głupimi żartami!—mówi zmienionym głosem.—Zachowujesz się niewłaściwie.

— I cóż dalej? — bezczelnie pyta pomocnik psychiatry w butach z wysokimi cholewami.

— Wyjdź pan natychmiast! Nie jesteś mi tu potrzebny.

Pożegnany w ten sposób, uprzejmy, zastępca naczelnego doktora biegnie ku drzwiom w podskokach, dzwoniąc ostrogami i uderzając powietrze szpicrutą.

— Co pan przyczepiasz do butów? Czy straciłeś pan rozum? — pyta gniewnie doktor Froin.

Bid'homme odpowiada dosadnym wyrazem, na szczęście dosyć cicho, aby jego zwierzchnik mógł udać, że nie słyszał.

— Ta szpicruta także potrzebna! Czy pan siedzisz na koniu? Po cóż skaczesz? Upiłeś się widocznie! Przyjść do pokoju chorej, aby się bawić w konia!.. Dosyć tego! Proszę zaczekać na mnie w gabinecie. Albo nie: połóż się pan. Pomówimy o tem po obiedzie!

Nie wiem, jakim sposobem słyszę tę rozmowę, gdyż całą duszą jestem zajęty wyłącznie opłakany stanem chorej, którą kocham. A jednakże słyszę nawet jęczący

głos zgorszonej panny Bouffard: „Takie szkandale u doktora Froin'a! Szkończenie świata. Co to będzie dalej!”

Doktor pewnie nie słyszy, patrzy na „moją księżniczkę”. Pobladła jeszcze bardziej, błędne oczy przewracają się okropnie, nos się wyciągnął, nozdrza posiniały i zacisnęły kurczowo, usta krzywią się lekko. Jest okropna! Dla każdego byłaby brzydka, ale nie dla mnie! Doktor podnosi jej głowę, układa na poduszce, daje wachać trzeźwiące sole. Celestyna rozciera ją rękoma.

Nagle chora się budzi, patrzy dokoła.

Piękne oczy jeszcze są błędne, twarz skrzywiona kurczowo. Zmieniła się do niepoznania.

— Oj, panie dochtorze!—woła panna Bouffard z przerażeniem.—Ola Boga! co za nieszczęście! Pani Irena całkiem się zmieniła!

— Cicho! — odpowiada doktor rozkazująco.—Przed wieczorem przyjdzie do siebie, to chwilowe.

Za późno! Chora (więc się nazywa Irena!) usłyszała okropne słowa dozorczyni, zaczyna płakać. Szybko chwytą zwierciadełko, leżące obok łóżka na stoliku, i spogląda w nie z przerażeniem.

— O, Boże, jestem straszna! jestem wstrętna! Nie chcę, żeby mię widziano! To

okropna rzecz tak wyglądać! Nie chcę, żeby mnie widział... ten, kto mnie ma ocalić.., nie chcę, żeby mnie widział! Stracę go! Jedyny, jedyny przyjaciel! Przez litość, idźcie sobie!..

— Najlepiej będzie zostawić ją samą na chwilę!—potwierdza doktor Froin.

Czy ja jestem tym przyjacielem, o którym mówiła? Przyjacielem, który ma ją ocalić? Skąd sobie wyobraziła takiego rycerza i dlaczego upatruje go we mnie?

Zresztą mniejsza o to; po tem, co usłyszałem, nie mam prawa być świadkiem jej rozpacz, choćby o tem nie wiedziała. Powrócę tu później, gdy zupełnie odzyska siły i spokojność.

Dozorczyni otwiera drzwi i wychodzi wraz z doktorem; opuszczam także pokój, ale wprost przez ścianę, gdyż zapory materialne przestały dla mnie istnieć. Płynę przed siebie bez celu, bez drogi... wkrótce jestem daleko od Vasselot... daleko! Upaja mnie swoboda nieograniczona... sam nie wiem, co z nią począć...

Pojmuję jednak, że gdybym nie był tak smutny, gdybym miał chociaż ziarnko energii „duchowej“, byłoby mi tak łatwo, prawie w mgnieniu oka, przebyć olbrzymią dla człowieka przestrzeń, przemknąć nad oceanem, ku tym pięknym krajom, które tak

zawsze pragnąłem oglądać, ku cudnym brzegom, tonącym w błękicie, ocienionym palmami i lasami.

Ale cierpienia Ireny zajmują myśl moją wyłącznie, nie pozwalają oderwać się od niej; pragnę jedynie zbliżenia tak mocno, iż nie dziwi mnie wcale, kiedy z wysokości spostrzegam, iż jestem na drodze do Villieville, którą Leonard miał udać się dziś rano po matkę mej „księżniczki.“

Płynę zwolna lub szybko, jak mi się podoba, a chociaż nie mam zmysłów, widzę i słyszę lepiej i dokładniej, żywiej odczuwam zapach balsamiczny łąk i lasów, niż wczoraj w cielesnej skorupie.

Leonard niezawodnie udał się starą drogą, krótszą, Rzeczywiście, mijając rodzaj starego powozu zamkniętego, spostrzegam twarz swego dozorca. Na koźle siedzi woźnica pijany, ekwipaż ciągnie rumak dy-chawiczny. Leonard purpurowy, jak tarcza słoneczna w chwili zachodu, wydaje się wściekły, przekleństwa płyną z ust jego potokiem.

Wyrzucił wreszcie całą lawę bluźnierstw, wyrażen „nieprzystojnych,” życzeń nieparlamentarnych, i zaczyna znowu przemawiać zdaniami, co mi pozwala poznać przyczynę tej złości.

— Kiedy szobie pomyśle, ty zdechły pijaku, że to ja szam szukałem ciebie wczoraj z twojem brzęczącym pudłem, wolałbym razem z tobą zoszczać mamką prosiat! Doktor Froin mi mówi: Weź powóz z żakładu. A ja mu odpowiadam: Wolę jechać z Robidorem, jego powóz najlepszy w całym Vasselot dla chorego. I czóż? O piątej rano Robidor przyjeżdża pijany jak bela! Rozumiem po południu, ale o piątej rano! Łamie prawy dyszel, związuje go sznurkiem. Czekam tylko, aż mię wyrzuci gdzie w błoto z takim krowim koniem, czo w godzinę przejdzie pół mili! Jedź, psi szynu, bo...

Robidor niewzruszony słucha tej przemowy, dopiero, gdy mój dozorca umilkł, aby odetchnąć, odzywa się łagodnie:

— Uspokójta się Leonard, i niechta już będzie zgoda! Owa! Nie widziałem ciebie pijanego!? Kuźden jak chce! Ja ci ta nie wydziwiałem!

Wkońcu Leonard cofa się w głąb powozu i zaczyna połą kurtki czyścić swój jasny melon. Delikatnie pluje na plamkę, jeszcze niewidzialną, i trze mocno chustką od nosa. Potem wyjmuje z kieszeni gazetę, owija w nią kapelusz, z tekturowego pudła, związanego sznurkiem, wyjmuje stary kaszket przekupnia owoców i kładzie go na głowę.

— To delikatna sztuka — mówi sam do siebie: — kilka godzin kurzu to jeszcze wytrzyma, ale pół dnia! Włożę go znów przed miasztem; tu niema dla kogo. Robidor szam nie czyści nigdy szwojej czapki. Będę się sztroił do deszek powozu i pleczów pijanego woźniczy!

Kołysanie i trzęsienie się powozu staje się tak łagodne, że Leonard zwolna zasypia spokojnie.

Upływa co najmniej godzina. Woźnica śpi na koźle, kłaniając się często grzbietowi końskiemu i zakurzonej drodze. Nakoniec wysadzana drzewami aleja, z przyzmami żwiru za całe urozmaicenie, zaczyna się ożywiać szarymi domkami. Łagodny rumak idzie, jak mu się podoba, ale mocniejszy aromat dobrze znanych stajni pobudza go do biegu, niezbyt pośpiesznego. Szare domki zastępują dworki murowane, dachówką kryte, potem pałacyki zamożniejszych rentjerów; koń nie ma już twardej szosy pod kopytem i nagle staje. Wóz z sianem zagrada mu drogę, stare, cienkie wędzidło niewiele przeszkadza, więc zabiera się spokojnie do śniadania.

Tłusty woźnica budzi się nakoniec, powoli i z trudnością schodzi z kozła, wsuwa rękę do powozu i budzi Leonarda bez nadzwyczajnej ceremonji:

— Hej, stary! toć merosztwo!

Patrzy teraz spokojnie wzrokiem obserwatora, jak Leonard przeciera oczy, odwija swój kapelusz i kładzie go na głowę.

— Duzo kóni widziołem w życiu — prawi Robidor — ale takiej zmyślnej bestji to nie znołem. Gdzie roz psejedzie, to już trafi bez pomyłki. A pozywić się też potrafi. Tsy kroki do zajazdu, a po co się ma fategować, kiej zobaczył po drodze piękne siano. Skostuje, bzuch popasie, stajnia nie ucieknie.

— Nauczył się rozumu od szwojego pana — odpowiada z pewnym przekąsem Leonard, ale Robidor upatruje w tem pochwałę i jest zadowolony.

— Szłuchaj-że! — ciągnie dalej mój dozorca: — zajedziesz do Angu-Posztela, i tam sztaniesz. Ja nie żabawię długo, dowiem się tylko od mera, gdzie mieszkają krewni matki Charlemain'a. Żdaje się, że niedaleko. Zajdę tam powiedzieć, żeby jom wyszykowali na godzinę trzecią, bo ta szkapa nie pójdzie prędzej. Za pół godziny będę u Angu-Posztela, i jeżeliś wytrzeźwiał, to wypijemy, jak należy, po szklaneczcze i żjemy, czo tam majom. A potem kawa! O trzeciej ruszamy w drogę, do Vaszelot z powrotem. Na dziewiątą będziemy w domu, bo trzy godziny jażdy, więc podwójnie obliczam na

to sztare szkapszko. Owsza mu nie żałuj: Froin płaci!

Nie potrzebował nawet szukać mera, gdyż ujrzał go przed sobą, ledwie wysiadł z powozu. Był to wieśniak rozmiarów słonia, o błękitnym nosie i czarnych, kosmatych nozdrzach; jego chytre oczy miały wyraz tak przebiegły, iż zdawało się, że sam musi być zmęczony, patrząc zawsze w taki sposób.

Leonard w kilku słowach przedstawia mu swoją sprawę, otrzymuje żądany adres i śpieszy we wskazanym kierunku.

Domek niewielki, brudny, ale pretensjonalny. Otwiera pucułowata dziewczyna, niepretensjonalna, ale brudniejsza od domu, i zapewnia Leonarda, że ma on szczęście, ponieważ pan Fryderyk wrócił.

Pan Fryderyk zjawia się we własnej osobie, drobny, wąły, zezowaty, o głupim wyrazie twarzy, ubrany, a raczej przebrany za strzelca, figurka z kalendarza, lub tanich obrazków.

„Salon jadalny“ tej osobistości zapełniają rozwieszone na wszystkich czterech ścianach najróżnorodniejsze przybory myśliwskie: fuzje, torby, rogi z prochem i t. p. Właściciel jednak tego arsenału nie wyglądał bynajmniej wojowniczo: mimo lat siedemdziesięciu, twarz bez zarostu, twarz ukara-

nego chłopczyny, budząca litość widza. Jego oczy przypominają zdychającego królika, wargi drżą, kiedy mówi, wyrażając się niepoprawnie, ale z wyszukaną starannością; włosy rzadkie, niby słoma na ściernisku, zdawały się podnosić pod wpływem przestachu.

— Przyszedłeś pan uwolnić mnie od mojej kłewnej—westchnął.—To osoba niebezpieczna i złego zachowania. Ta gałąź naszej łodziny oddawna podupadła i nie odebrała takiej edukacji jak ci, którzy pozostali w Villieville. Dlatego się obawiam, że jej zachowanie nie bałdzo będzie dla nas chwalebne, a nawet kompromitujące. Do kół naszej okolicy musiał ją wczoraj posklamać. Tak, panie, to Tadmellan w spółnicy...

Leonard przerwał tę przemowę, prosząc o spakowanie sukni i bielizny chorej, oraz zawiadamiając o godzinie odjazdu.

— Dopieło o trzeciej! Ach, mój długi panie! To dla mnie ogłomny zawód! Myślałem, że ją oddam panu załaz! W takim łazie będzie jeszcze miała czas i tańczyć... tak jest, łaskawy panie: tańczyć, i niszczyć moje meble, i łujnować mi zdrowie, i głosić mi ucieczką i innymi gwałtami!

Mój dozorca usiłuje wytłómaczyć mu położenie rzeczy: koń zmęczony, woźnica

miał „atak apoplektyczny,” w Villieville nie-
ma innego powozu do wynajęcia...

— Niestety, łozumiem to! — wzdycha
z rozpaczą Nemrod: — ale to mi nie ujmu-
je niepokoju. Odetchnę dopiero wtedy, kie-
dy ta opętana zniknie mi za horyzontem!
A może pozostałbyś pan przez ten czas
z nami? Ja sił już nie mam, jestem wyczerpa-
ny! Patrz pan, człowiek w moim wieku, łagod-
ny do tego stopnia, że nie odebrałem życia
żadnemu zwierzęciu, noszę teraz błon zabójczą!

Wistocie, na żołądku zacnego obywa-
tela świeci błyszczący metal rewolweru.
Pan Fryderyk mówi dalej głosem przyci-
szonym, jakby zażenowany:

— A czy wiesz pan, dlaczego od oneg-
daj nie łozstaje się z tą blonią? Ta wał-
jotka usiłowała.., (doprawdy nie wiem, jak
mam to powiedzieć) usiłowała pozbawić
mnie honołu!

Stary Nemrod drżał jeszcze na wspo-
mnienie tej chwili.

— Nie mogę pożosztawić tak woźni-
czy — tłumaczy się Leonard — czeka na
mnie i posiłek u Angu-Posztela.

— Cóż łobić! — westchnął smutnie pan
Fryderyk — przyprowadź go pan do mnie.
To nowy koszt, wydatek, ale mię nie złu-
nuje ten łaz jeden!

Po takim zaproszeniu Leonard nie waha się dłużej i śpieszy po Robidora do oberży, ale dzielny woźnica zdążył już tymczasem wypić znowu kilka szklaneczek, i ta metoda homeopatyczna wyleczyła go widocznie ze skutków poprzedniego nadużycia.

— Tego nie przewidziałem — mruczy mój dozorca: — teraz nicz nie pomoże. Na szczęście, jeszcze jest w dość dobrym sztanie.

Żołądek Robidora jest prawdziwie bezdenne, to też podczas obiadu potrawy znikają z półmisków z imponującą szybkością. Wszyscy trzej współbiesiadnicy mówią przytem odrazu i bawią się wybornie. Pan Fryderyk opowiada o chytrości zajęcy, które nie mają względów nawet dla najlepszych strzelców; jednocześnie Leonard maluje rysy charakterystyczne najbardziej upartych i przebiegłych warjatów, a Robidor trzyma się stajni, przytacza fakty nadzwyczajne i dzieli się swem doświadczeniem z roztargnionymi słuchaczami.

Pan Fryderyk jest zachwycony gośćmi; przy drugim daniu rozczula się zupełnie, a przy wetach harmonja panuje tak wielka, że wszyscy trzej bardzo głośno mówią chórem.

Podano kawę. Gospodarz sam otwiera butelkę koniaku; wesołość jest powszechna, każdy własną wymową bawi się znakomi-

cie, gdy... „zaszedł niespodziewany przypadek“. Drzwi jadalnej sali otwierają się bez szelestu... trochę więcej... i do pokoju wsuwa się stara głowa i twarz pomarszczona, zmięta, żółto-czerwona, o wielkich, czarnych oczach niezwykłego blasku, które nie wydały mi się nieznanemi. Nikt jej nie zauważył, i zniknęła, ale w kilka chwil zjawiała się znowu, a za nią cała postać nieprawdopodobnie chudej, starej kobiety w czarnym kaftanie, usianym tłustemi plamami, i w spódnicy nieokreślonego koloru.

Pan Fryderyk ją spostrzegł i wykrzyknął z przestachem:

— Aj, otóż moja kłówna!

Starowina, owa groźna tygrysica, postąpiła nieśmiało kilka kroków i odezwała się głosem żalonym:

— Ja także jestem głodna! Mnie nic nie dali do jedzenia!

Pan Fryderyk zzieleniał i krzyknął, jak gdyby odzierano go ze skóry:

— Łobętyno! Płdzej! Śpiesz na pomoc tym panom!

Służąca wbiegła kuchennemi drzwiami Leonard i Robidor stanęli także w pogotowiu.

Oczekiwałem jakiejś [strasznej sceny, gdy z dwóch stron „poskromiciele“ zbliżyli

się do nieszczęśliwej, ale staruszka powtarzała tylko płaczliwym głosem:

— Jestem głodna! Jestem głodna!

Służąca wzruszyła ramionami.

— Nie jest ona taka straszna, proszę pana! Wezmę ja z sobą i dam jeść cokolwiek.

— Tylko nic z mego stołu! — jęknął pan Fryderyk. — Pożałoby wszystko i nie zostawiła nic dla mnie na wieczół. Upiecz jej kilka kałtofli i daj co gotowanego, nic więcej! To łuina żywić wałjatkę z takim apetytem!

Robertyna wzięła za rękę płaczącą staruszkę, która uspokoiła się zaraz, usłyszawszy, że dostanie „pełny talerz czegoś dobrego.“

— Nie będę przecież kałmił jej małcepanami — tłumaczył pan Fryderyk. Stała wałjatka bez własnego głósza! Niegdyś to miało śłodki, bądzo piękny kapitał, ale „zła administłacja,“ występek, szaleństwo włeszcie, a może i pijaństwo pochłóneły wszystko bez śladu. Opiekun tej łodziny „niepoczytalnych,“ notałjusz, jest człowiekiem sentymentalnym. (Sentymentalny notałjusz! Czy to nie kłokodył w kagańcu?). Otóż ten opiekun żąda dla nich utrzymania w zakładzie d-ra Fłoin'a, jakby byli co najmniej łodziną ministła. Co to będzie kosztowało! Osobny pokój, stół wystawny etc.

Jestem przekonany, że na takie zbytki łośzki ich łośtuny wystałczyć nie mogą. Wczołaj kupilem „dla niej“ od Łobełtyny dwie używane suknie, jeszcze bałdzo dołbe, które nosiła zwykle podczas „dużego płania“. Zapłaćilem za nie dziesięć łośanków. To pieniałdz! Żeby mi tylko zwłóćili!

— A czół chora żabierze ż szobom?— pyta ciekawie Leonard.

— Żłepelowaną porząłnię koszulę i dłuę suknię, kupioną od Łobełtyny.

— Bęłdzie to musiał doktor Froin załatwić z opiekonem.

— Pewno, pewno. Ja żłobiłem dosyć. Mój majątek bałdzo źle ulokowany. Wyżrzekłem się małżeństwa przez wzgląd na wydatki. Więc pan łozumie...

Otworzono koniak. Następnie pan Fryderyk zakorkował sam butelkę, i na wysokości płynu zrobił znaczek djamentem szklarza. Zamykając ją do kredensu, słyszałem, jak mruczał:

— Zamki dziś niewiele warte.

Dochodziła trzecia. Robidor ułał się do Angu-Postela, aby załóżyć konia, Robertyna przyniosła „rzeczy“ matki Charlemain'a, która zaczęła okazywać pewne żaniepokojenie.

— Czy nie ma kapelusza, albo jakiego czepek?— spytał Leonard, patrząc na

odkrytą jej głowę.—Nie tak prędko sztanujemy w Vasselot może być chłodno.

— Ma kapelusz!—zawołał pan Fryderyk:—można wpakować jej na głowę, jak się złobi chłodno.

Nadbiegł Robidor z biczem, oznajmiając, że koń czeka przed stajnią.

Robertyna zawinęła głowę starej w jakąś ciemną, otłuszczoną, zakapaną stearyną chustkę. Leonard podał jej uprzejmie ramię, ale biedna kobiecina z płaczem zaczęła pytać: gdzie to ją tak prowadzą?

— Przejedziemy się powozem—zapewnia dozorca.

— Nie pojedę z nieznajomym!—protestuje chora:—są pułapki w powozach, gdzie wrzucają stare kobiety. Wolę zobaczyć na śpichrzu blaszanego ptaka, co śpiewa jak harmonijka.

— Właśnie tam pojedziemy powozem drugą sztroną pod górę—prawi Leonard.

— Czy naprawdę?

Postępuje kilka kroków, nawpół zdecydowana. Robertyna przyjaźnie uderza ją w plecy, wołając:—„Do widzenia!“ Nagle staruszka, jakby wiedziona przeczuciem, odwraca się gwałtownie i wybucha łkaniem:

— Nie uściskasz mię, Fryderyku? Nie wiem kiedy wrócę...

— Idź, idź! Znowu ci właca to głupstwo! Nie przestanie mię prześladować nieprzyzwoitymi łuchami!—oburza się Fryderyk.—Trzymajcie ją! Sami widzicie te!aż! Sześćdziesiąt lat kobieta! I taki potwór czepia się ludzi dojrzałych! Czy się nie wstydzisz sama siebie, Eulalio?!.. Nie, pani! Nie uściskasz mię! To byłoby tylko powodem dla ciebie do niezdłowych, nieczystych myśli!

— Nieczystych myśli!—woła nieszczęśliwa.—Ja przecież lubię tylko kudłate jagniątka i gołębie.

Ale skromność pana Fryderyka jest widocznie bardzo trwożliwa. Nie rozumiem, jakim sposobem mógł dostrzedz w tej biedocie groźne niebezpieczeństwo dla swej cnoty. Erotyzm pani Eulalii wydał mi się niepojętą i śmieszną niedorzecznością.

Robertyna widocznie podziela mój pogląd, gdyż mruczy coś z widocznem oburzeniem i rozróżniam wyrazy:

— To ci prawda! Taki skielecik! Bojący się pan zrobił!

Jesteśmy na ulicy. Leonard prowadzi chorą do powozu, chce jej dopomódz wsiąść, kiedy nagle frrr!.. szalona wyrывa mu się z ręki, skacze w bok, i ucieka w kierunku sadzawki. Robidor i Leonard puszczają się w pogoń; pan Fryderyk gor-

liwie śpieszy im na pomoc, uzbrojony ogromnym batem. Ale babina ma jeszcze dobre nogi: wyprzedza prześladowców i naraża ich na niemałe trudy. W zapale popeliła jednak nieostrożność, zwracając się na tamę. Stąd niema wyjścia; daremnie okraża, zawraca, Leonard już ją chwyta, więc... rzuca się w wodę.

Uważałem ją za zgubioną, ale oboje nie wzięliśmy w rachubę szeregu łodzi, stojących wzdłuż tamy. Dwaj rybacy, zajęci naprawianiem żagla, pochwycili ją prawie w locie.

Położono ją na tamie; Leonard i Robidor wzięli ją w objęcia, nie „ściskając” zanadto, i krzyczącą, kopiącą się rozpaczliwie, zanieśli niby pakunek i umieścili w powozie.

Konie ruszyły z miejsca.

Zmoczona u dołu suknia przylgnęła do kolan staruszki, która wydawała się teraz jeszcze chudsza, wyższa i podobniejsza do widziadła. Z daleka pan Fryderyk zacierał ręce z radosnym tryumfem, a Robertyna wygrażała mu pięścią.

Matka Charlemaine’a tymczasem, po chwilowem wyczerpaniu, urządziła prawdziwie „djabelską muzykę,” według określenia mojego dozorca.

— Dokąd jedziemy, dokąd jedziemy? — ryczała z całej siły, starając się uwolnić z objęć Leonarda, który nieco za późno powziął myśl genialną.

— Moja pani, jedziemy do twojego szyna i twojej córki, którzy bawią u przyjaciół.

— Trzeba było mi powiedzieć! — krzyknęła warjotka. — Myślałam, że mię porwali żandarmi, przebrani po cywilnemu, za kawałek kiełbasy, który skradłam Fryderykowi, ponieważ mam trzonek od noża w żołądku... Wiem, co robią ze złodziejkami! Czerwone żelazo kładą im pod pachy i ocinają włosy żelaznymi kleszczami...

— Czy pani kużyn jeść nie dawał?

— O, on jest bardzo dobry, ale nie lubi żarłoków. Sam mi to powiedział. Dlatego nic nie mówiłam, kiedy mi dawał małe kawałeczki suchego chleba, i szukałam po kątach. Robertyna chętnie dałaby mi więcej, ale zamykał wszystko na klucz. Nie wszystko... bo kiełbasę znalazłam w kuchni pod stołem... kawałeczek, i niedobry! I jeszcze kawałek słoniny na strychu, obok butów, i pół śledzia wędzonego w ogrodzie przy kurniku. Okradałam biednego Fryderyka, to niedobrze, wiem o tem!

Powolna droga była bardzo przykra. Piękna pogoda nie dotrwała do wieczora:

zachmurzyło się, i deszcz zaczął padać koło piątej. Leonard zdjął swój „melon“ i owi-
nął znowu w gazetę. Było coraz chłodniej,
wiatr zimny, przejmujący przenikał do po-
wozu wszystkimi otworami i szparami. Bie-
dna kobieta drżała w mokrej sukni, humor
Leonarda spadał bardzo szybko. Z nasta-
niem nocy było jeszcze gorzej. Fantasty-
czne kształty drzew po bokach drogi prze-
rażały chorą; woda deszczowa kapać zaczę-
ła do wnętrza, jej lodowate krople padały
na czoło lub ręce nieszczęśliwej, która krzy-
czała z trwogi. Piękny kapelusz-melon był
narażony na wielkie ciosy złośliwego losu,
dziennik przemókł zupełnie i żadnej nie sta-
nowił już ochrony. Leonard kłął, a matka
Charlemaine'a płakała głośno. Niekiedy czer-
wone światełka w oddali świadczyły, że mi-
jano jakąś wioskę; psy wyły i poszczeki-
wały.

Otrzeźwiony przez ulewę Robidor zde-
cydował się wreszcie przynaglic do pośpie-
chu swojego rumaka, i powóz toczył się,
niby łódź wśród silnej fali.

Nakoniec o w pół do dziewiątej wje-
chano do Vasselot, i ekwipaż stanął przed
kratą. Woźnica zadzwonił, otworzono bramę
i koła potoczyły się po miękkim żwirze
szerokiej alei.

Leonard i Robidor wysadzili chorą z po-

wozu i prowadząc ją między sobą do przed-sionka — podnieceni zapewne bliskością dyrektorskiego gabinetu — udawać zaczęli niezwykłą gorliwość. Żyły nabrzmiały im nagle na czołach, oczy nabrały dzikiego wy-razu okrucieństwa, zdawaćby się mogło, że po okropnem zmęczeniu, ostatnimi siłami wiedą ujętego niebezpiecznego więźnia.

Doktor Froin, znający dobrze tę ko-medję, spokojnie wzruszył ramionami.

— Wolniej, Leonardzie, puść tę panią, proszę... wkrótce zaczniesz udawać niezmiernie srogiego, co nie zgadza się wcale z twoją rolą, którą grałeś dotychczas tak dobrze. Robidor, co ci się należy?... i możesz odejść.

Gruby woźnica zgarnął podane pieniądze i, złożywszy doktorowi najpiękniejszy ukłon, oddalił się niezwłocznie.

Obok dyrektora stał dr. Bid'homme, ale w zupełnie nowej postaci: bez szpicruty, wysokich butów, poważny, dystyngowany, trochę zbyt przejęty powołaniem doktora-psychiatry, słowem typ do ilustracji chociażby w „Graphic'u.“ Mówił głosem gardłowym, z większą stanowczością, niż kiedy wypytywał Leonarda o „nieporządki,“ ale względem chorej był uprzejmy bez zarzutu. Doktor Froin, widocznie wzruszony takim

zachowaniem, miał dla niego prawdziwie ojcowskie spojrzenie.

— Czyż to prawda, że zobaczę moje dzieci? — pyta obłąkana.

— Pozwoli pani zauważyć, — gulgocze Bid'homme — że dziś na to trochę za późno. Jutro z samego rana sam je przyprowadzę do pokoju pani. Rozumiem przecież „niecierpliwość matki!“

Doktór Froin uspokaja pacjentkę, pociesza, rozwesela ją nawet, badając jednocześnie bez wzbudzenia podejrzeń. Przyjęcie skończone. Doktór Bid'homme uprzejmie obejmuje wpół nowoprzybyłą i sam ją odprowadza do „jej apartamentu“.

Zaledwie jednak spełnił to zadanie i powierzył chorą służącej, spotyka na korytarzu „dozorczynię główną“, którą przeraża nagle wymyślonem opowiadaniem o dzikości i prawie ludożerstwie obłąkanej.

— Zacznieś ją pani od jutra osłabiać i uspokajać środkami przeczyszczającymi, a gdyby miała jeszcze jakie fanaberje — na wymioty, dyeta, prysznic, kaftan — kaftan nadewszystko.

Mocno zaniepokojona dozorczyni decyduje się wreszcie wejść do pokoju niebezpiecznej pacjentki i zastaje ją w łóżku, patrzącą spokojnie na tęą posługaczkę, która suszy jej mokre włosy.

Czy ośmielę się teraz przeniknąć raz jeszcze do pokoju, który zwiedzałem dziś rano? Tak, pragnę ją zobaczyć, nim powrócę do swego ciała i niegodziwego Tkoukryńczyka.

Irena śpi, oblana różowym światłem nocnej lampki. Jest znowu piękna, może piękniejsza, niż była. Panna Bouffard, siedząc przy łóżku, obrębia serwetę, a niekiedy odkłada robotę i odczytuje list, leżący przed nią, pisany na papierze dosyć brudnym, ale ozdobionym kolorowanym rysunkiem, który wyobraża gołębia, trzymającego w dziobie purpurowe serce. Dozorczyni wzdycha głęboko.

— Filut ten Paplorey! (nazwisko dozorczy). Plecie czasem „świństewka“, ale śliczny chłopiec! Jest tkliwość w jego „pieprzonych ciastkach“. Ma wstydlivość uczucia.

Taka dozorczyni czuwa nad Ireną.

Ale ona śpi, nieświadoma myśli tej kobiety, jak nie wie o obecności własnej matki w tym samym domu, po dniu tak ciężkich wrażeń.

Czy bezcielesne istoty mogą dać pocałunek? Sądzę, iż można odpowiedzieć na to twierdząco, chociażby to twierdzenie wydało się śmiesznem i nieprawdopodobnem, gdyż doznałem wrażenia, że dotykam jej aksamitnej, blado-różowej twarzy, że upa-

jam się wonią wszystkich kwiatów na tym świeżym policzku. Długo, o, bardzo długo korzystałem z rozkoszy tej pieszczoty, której nie mogła przeczuć, ani zgadnąć, chociażby obudziła się w tej chwili. Zapomniałem o swoim opuszczonem ciele i jego przywłaszczycielu, posępnym duchu z krain planetarnych.

Panna Bouffard zabrała światło i udała się na spoczynek; nie mogłem widzieć już mojej księżniczki, ale nią oddychałem, wchłaniałem ją w siebie! I dopiero o świcie instynkt jakiś, silniejszy od mej woli, potężniejszy od namiętności, zbudził się we mnie nagle i nakazał zatroszczyć się o resztkę mej istoty i Kmohouna. Byłem zmuszony wrócić do swej pogardzonej od tylu godzin skorupy... ale doznawałem uczucia rozdarcia, oddalając się od Ireny, nie przeżywającej mojej obecności.

Nie umiem sobie wytłómaczyć tego, co się ze mną dzieje. Jakaż to siła wiedzie mnie do matki mojej księżniczki? Widzę jej sen spokojny na wygodnem łóżku, niepodobnem z pewnością do tapczana, na którym w ciągu kilku ostatnich nocy umieściło ją skąpstwo Fryderyka. Pod wpływem wypoczynku i wygody z jej zmiętej twarzy zniknęło bolesne skrzywienie, rysy wyprostowały się, wypogodziły, ma prawie wyraz

szczęścia i „nadziei“, a zarazem stała się w jakiś okrutny sposób podobną do mojej cudownej księżniczki.

I dlaczego, gdy błogi spokój biednej chorej sprawia na mnie takie wrażenie, nagle widzę scenę stokroć okropniejszą od wszystkiego, co w dniu dzisiejszym oglądałem, która się przesuwa, niby prorocze widzenie! Ten przerażający, ohydny widok raz jeszcze zobaczę oczyma swego ciała w dalekiej przyszłości, w kraju nieznanym i bardzo odległym.

Dwóch łapaczów, o głowach i twarzach zbrodniarzów, ścigają w lesie starą i nagą kobietę, którą długie, rozpuszczone, brudnobiałe włosy uderzają po biodrach i ramionach. Kolczaste gałęzie roślin ranią skórę uciekającej, która skacze jak chuda koza, nie zważając na uderzenia gałęzi, rany, kolce i szpony, szarpiące jej szarawe ciało. Oto polanka; kobieta biegnie prędzej, wprost przed siebie, prędzej! Ale na gruncie równym, wysłanym delikatną, krótką trawą, jej prześladowcy łatwiej śpieszą za nią. Jeden wyciąga rękę, dotyka ramienia ofiary, która odwraca się nagle i ostrymi, dziwnie młodymi zębami chce ukąsić wroga, broni swej wolności. W tej samej chwili drugi rzuca się naprzód, z dzikim wyrazem twarzy i wyciągniętymi rękoma, traci równowagę, pada,

ale chwyta w silne szpony biały płaszcz włosów starej. Nieszczęśliwa pada także, przygnieciona w mgnieniu oka łokciami, kolanami i ciężarem wielkiego kościstego ciała mężczyzny. Ludzie o głowach zbrodniarzy tryumfują. Ciągną po ziemi krwawiącą się postać, potem odwracają ją na plecy, aby się znęcać w sposób jeszcze dzikszy, jeszcze bardziej zwierzęcy... krzyk ofiary tłómią uderzeniem pięści, kopnięciem twardego buta. Wreszcie podnoszą straszny łachman ludzkiego ciała i rzucają na rodzaj wozu. Po błotnistej drodze konie ruszyły galopem: czarne błoto pryska wielkimi plamami, pada na wóz ponury i... wszystko znika.

III.

Przerażony okropną wizją, nie wiem, kiedy znalazłem się w swoim pokoju, gdzie spostrzegłem przedewszystkiem Leonard. Siedzącego na krześle z twarzą osłupiałą, oczyma wychodzącymi prawie z orbit i rozpacznie podniesionemi rękoma, wpatrzonego w moje ciało, rzeczywiście odrażające w tej chwili. Więc to ja jestem, ta potworna głowa, o twarzy fioletowej, prawie czarnej... ze wściekłości! Nie dziwie się przerażeniu Leonarda. Nie byłem nigdy piękny; mów-

my szczerze: byłem brzydki, brzydki bez przesady, ale tylko brzydki! Brzydki, to jeszcze nie odrażający, i mam prawo zaznaczyć tę różnicę. Tymczasem głowa na mojej poduszce budzi strach i odrazę obok nienawiści. Mój nos nieregularny stał się potwornym, strąkowatym ryjem, żółte zwykłe, brzydkie źrenice rzucają teraz czerwone płomienie o zielonawym blasku, w śliną okrytych ustach widać nieruchomy, nabrzmiały język. Jestem ohydny!

Co ze mnie zrobił niegodziwy Kmo-houn?

Waham się wrócić do własnego ciała.

Dozorca Franciszek, więcej od Leonarda oswojony z podobnemi twarzami, a mimo to wyraźnie zaniepokojony, mówi głosem chrapliwym:

— Jus tak jest z dziesięć godzin. Rano był spokojny i śpioncy ale chciał coś powiedzieć Bid'homme'owi, nie mógł i ze złości tak jus ostał. Był doktor Froin, mówił, że to nie paralis języka, że nie widział nic podobnego, i coś tam jeszcze więcej. Tak to tam ich mądrość! Duzo wiedzom. Ja tam nie wieze w zadne medycyny; chirurg to co innego: patsy, widzi i kraje, co potseba. Co na wischu, to się omylić nie można, ale mi nikt nie wmówi, zeby doch-tór psejzał do wnętrsa człowieka. Nima ta-

kich okularów, a co gadajom o tych promieniach „ranganach,” to wszycko osukaństwo.

Taki był sąd Franciszka o obecnym stanie medecyny.

Leonard nie wdawał się wcale w rozprawę, zanadto był zajęty chorym.

— Nigdy nicz podobnego nie było — zaczął z przekonaniem. — Miał mowę zawsze łatwą, jak „furnograf.” Ale żły dozór może zaszkodzić choremu. Kto się nie zna i nie wie...

Franciszek się oburzył; kłótnia zawisła w powietrzu; zrozumiałem, że powinienem jej zapobiedz.

Zwyciężając wstręt i trwogę, zbliżyłem się do mojego ciała, nagle przerażony myślą, że mogę nie być wpuszczony. Ale Tkoukryeńczyk widocznie odczuł moją obecność, gdyż w tej samej chwili byłem literalnie pochłonięty, wypity przez mój niezbyt piękny organizm.

I natychmiast odczułem, co mówił do mnie Kmohoun:

— Nie za wcześnie! Nie mogłem wcale mówić! W twoim przeklętym mózgu nie widziałem żadnego pisma czy obrazu — jak sobie wolisz nazwać: — wszystko zabrałeś z sobą! Teraz nie pozwolę ci się już oddalić, póki sam nie zdobędę wiadomości,

i środków, niezbędnych w życiu ziemskim, póki nie będę umiał sam pisać i malować według swej własnej woli. Chciałem powiedzieć głupstwo temu warjatowi Bid'homme, albo temu bydlęciu, Franciszkowi... i nic! Nic, prócz pojęć i wyrazów z Tkoukra! Miałem słabe wspomnienie dźwięków swojej mowy, pamiętałem ich znaczenie, ale chwycić je, wydać... niepodobna! Nic i nic! Nie zdały mi się na nic twój język i gardło: nie umiałem ich użyć, wydawałem jedynie jakieś wściekłe głosy... Dusilem się!

Nie słyszałem, co mówił dalej, gdyż Leonard i Franciszek zamieniali coraz groźniejsze wyrazy, gotowi rozpocząć walkę, jeśli temu nie przeszkodzę.

Przemówilem więc głosem zimnym i stanowczym, który paraliżuje najgorętszych wojowników, zwłaszcza gdy nie są nań przygotowani:

— Cóż to znowu! Będziecie bili się dlatego, że straciłem mowę? Głupstwo. Był to atak nerwowy, który mię doprowadził do rozpacz, ale na szczęście przeminął. Uspokój się, Leonardzie, gdyż temu nikt nie winien, a tembardziej Franciszek. Daj mi jeść lepiej, bo umieram z głodu, a potem idź sobie, gdzie ci się podoba, gdyż chcę sam zostać i nie widzieć nikogo.

Przeciwnicy patrzali na mnie ze zdumieniem, byli wprost „źmiażdżeni“ moim głosem. Cofnęli się obadwaj, grożąc sobie jednak pięściami, żeby nie okazać zbytnej skłonności do zgody, i mruczając wyzywające, lecz niezrozumiałe wyrazy, akceptowane silnem potrząsaniem głowy i wysunięciem brody, co, jak wiadomo, oznacza urazę, nieufność i ostrzeżenie przeciwnika, aby nie ważył się zacząć nanowo, jeśli nie chce „zobaczyć“!

Kiedyśmy się nakoniec posilili należycie (ja i Kmohoun), i gdy Leonard uniósł z sobą w dalsze nieco okolice gniew i pogardę względem swojego kolegi, intruz, przebywający we mnie, domagać się zaczął, abym wysłuchał jego całodziennych przygód.

— Przykre to były chwile—mówił.— Cierpiałem głód, pragnienie (zbyt dobrze znane mieszkańcom Tkoukra), i nie byłem w możności o nic się dopomnieć! Ale najbardziej znęcał się nade mną ten nikczemny pajac, którego nazywasz: Bid'homme. To on musi być warjatem! W porównaniu z nim jesteś najrozsądniejszym człowiekiem pod słońcem! Czy wiesz, że mię sam męczył, torturował. Nie rozumiałem dobrze, czego chciał ode mnie, ale jestem pewien, że moje milczenie doprowadziło go

do tego szalu. Przy pomocy Franciszka, któremu kazał mię trzymać, przemocą otwierał mi usta i chciał pochwycić mię za język, który naturalnie wymykał mu się z palców, co jednakże było dla mnie niezmiernie bolesne. Ugryzłem go też z całej siły. Wtedy wziął mię za włosy i za brodę, i jak szatan uderzał szczęki jedną o drugą! Widząc, że to nic nie pomaga, kazał mię zanieść stąd gdzieś daleko, do wielkiego ponurego pokoju, gdzie wrzucono mię w zimną wodę. Potem na jego rozkaz skierowano mi na twarz straszliwy strumień wody. Dotychczas jeszcze dzwonią mi zęby na wspomnienie! A, podły! Ale zemścimy się na nim! Chcesz?

Biedny Tkoukryeńczyk istotnie wycierpiał wiele w mej osobie. Uczułem jeszcze teraz bolesne łamanie w głowie: szczęki miałem zbolale, jak złamane, a silna gorączka rozpaliała mi krew, lub wstrząsała dreszczem febrycznym.

— Możemy być pomszczeni prędzej, niż przypuszczasz — odparłem Kmohounowi. — Ten rozbójnik, Bid'homme, ma też swoje konto...

Tkoukryeńczyk mię zrozumiał, i przemówił głośno fizycznym moim głosem:

— Brawo! Wroga siła! wroga siła!

— Więc i on zna „wrogą siłę,” jak

Mabire i ja? Cóż u kata?... znalazł to wyrażenie w moim własnym mózgu, gdzie widocznie wypisuję czy rysuję, lub odciskam wszelkie obrazy, dźwięki — nie wiem wreszcie, jak to określić, ale wszystko, co widzę; słyszę, z czego składa się moje życie!

Kmohoun tymczasem mówił:

— Byłem bardzo szczęśliwy, kiedy wróciłeś, Venly! Jesteś mi tak potrzebny, że odczuwam dla ciebie coś w rodzaju rzeczywistego przywiązania. Przysięgam ci, że nigdy nie będę się starał zmuszać cię do czynu, którego byś potem żałował. Jeśli się to zdarzy, to bądź pewien, że sam uległem wrodzonemu instynktowi, który się odezwał z dziką gwałtownością.

Dobra dla mnie pociecha!

— Nie troszcz się przewidywaniem! Jestem ci szczerze wdzięczny i będę usiłował panować nad sobą, poskramiać swoje szkodliwe popędy!

To gorsze od wszystkiego! Więc będę odtąd żyłem narzędziem wszelakich okropności, jakie wymyśli i wykonać zechce nieposkromiony instynkt dzikiego Kmohouna! Muszę się cieszyć, że rola warjata uwolni mnie przynajmniej od zewnętrznej odpowiedzialności za jego czyny! Nawet i ta jednakże głupia i nikczemna radość tchórza trwała być we mnie nie może: przecież ten przy-

właszczyciel moich sił wykonawczych zrobić mnie może świadkiem czynnym niegodziwości, popełnianych względem najbliższych, kochanych, względem Ireny np., względem istot niewinnych i bezbronnych, a wreszcie obojętnych! Jakże okropnych wrażeń mogą być jeszcze ofiarą!

I cóż za opór stawię jego woli... ja, warjat, podlegający atakom?

Czeka mnie odtąd życie w ciągłej trwodze. O, Kmohounie! cóż mi po twojej przyjaźni, jeśli cię nie skłania do opuszczenia mnie, na zawsze, jeśli ona właśnie czyni mnie dogodnym dla ciebie narzędziem zaspokojenia twoich rozbójniczych pragnień, twoich instynktów istoty pierwotnej, dziecka planety niższej... wbrew twoim pojęciom!

Dlaczegoż nie wcieliłeś się przynajmniej w istotę, obdarzoną władzą absolutną? Jest tylu słabych mimo pozornej potęgi, którą są uprzywilejowani i której nadużywają tak często! Mogłeś sobie przecie wybrać choćby ścinacza głów z Nowej Gwinei lub Mindanao, szeicha Tuaregów, wodza Siu, bazybuzuka, chana, kogo zechcesz wreszcie z tych, którym wszystko wolno. Tyś wyszukał mnie właśnie!... mnie, niedołęznego łatacza wierszów, lichego barda w rodzaju Oswalda-Norberta Nigeot (blim, blum, mechanicznie!), członka „klubu filozofów“ i to-

warzyśza mej niewoli, mnie, owoc suchy, treść wyrazu: „nic-po-ń,” bo nic po mnie nikomu! Jedynym przymiotem moim była dotychczas nieszkodliwość. I to chcesz mi odebrać? O uparty Tkoukryńczyku z konstelacyi Aldebarana, przyznaj, że to przechodzi nawet... kosmiczny upór!

— Powiedziałem ci już, — odparł Kmohoun, do którego przemawiałem tylko liryką nastroju, — że długie i cierpliwe poszukiwanie lokalu przed zajęciem tego kącika u ciebie było przechwałką z mojej strony. Nie szukałem, ani wybierałem, ponieważ się śpieszyłem; byłeś pierwszą duszą bezsilną, jaką, spotkałem w drodze. więc...

— Nie pomyślałeś o tem, nieszczęśliwy, że mieszkanie, które obierasz, nie jest wolne, że to narzędzie, którem się chcesz posługiwać, uwięzione jest w murach zakładu, którego przyjemności mogłeś sam ocenić wczoraj, dzięki staraniom doktora Bid'homme'a, a także z wrażeń, które czytasz w moim mózgu. Jeśli ja stąd nie wyjdę, cóż poznasz na planecie, którą przybyłeś zwiedzić, prócz domu warjatów? Resztę zastąpić ci muszą obrazy mej wyobraźni i moje osobiste zdania i poglądy.

— W jakiż sposób mogłem to wszystko przewidzieć, przybywając tu prosto ze

świata tak odmiennego? A przytem, szczerze mówiąc, pochodzę z tak okropnej otchłani, że warunki mego bytu dzisiejszego wydają mi się zupełnie przyjemnymi w porównaniu z poprzedniem otoczeniem.

— Nawet postępowanie Bid'homme'a?

— I to nawet mniej boli, odkiedy popodzieliłem z tobą cierpienia naszych nerwów. Gdybyś znał Tkoukrę, przyzwyczaiłbyś się do wielu rzeczy! Jesteśmy dziś o tyle przyjaciółmi, że muszę ci opowiedzieć, jakie prowadzimy życie na tej przeklętej gwieździe. Muszę to nawet zrobić, gdyż inaczej, skoro wspomnienie moje wyrzyje się na naszym mózgu, gotów mi jesteś zwarjować naprawdę, nie mogąc zdać sobie sprawy z pochodzenia okropnych widziadeł, które przypisywałbyś gorączce, lub uważał za postęp obłądu.

Rzeczywiście, od chwili „powrotu“, widziałem w moim mózgu obrazy nieznane, sceny dziwne, jeszcze blade, nieuchwytnie, niezrozumiałe dla mnie, których zacząłem się lękać, poczytując je za zwiastuny zbliżającego się znowu ataku.

Powiedziałem ci rzecz główną—ciągnął Kmohoun;—reszta nie robi takiego wrażenia, gdyż jesteś już przygotowany. Sądzę, że niczemu dziwić się nie będziesz... A potrzebuje mówić o tej okropnej przeszłości...

— Więc niechże i tak będzie; opowiedz mi o swej planecie.

— Jest to gwiazda czerwona. Widziałem ją po raz ostatni, zaledwie już dostrzegalną, gdy Ziemia miała wielkość kółka świecącego u ostrogi doktora Bid'homme'a. Planeta moja jest chaosem skał, barwy krwistej. Tu i owdzie rzadkie mieszkalne doliny wciskają się między prostopadłe wzgórza; doliny ciemne, o ścianach stromych i czerwonych, pod sklepieniem barwy węgla, albo miedzi, stosownie do godziny. Tam istnieje życie, pełne grozy i okropności. W tych kamienistych pustyniach, ściśniętych nierozpartymi murami, tłoczy się życie, cisną się istoty podobne do mnie, bez żadnego schronienia, smagane biczem wichrów, zimna i wilgoci.

— Czy bardzo różne od mieszkańców ziemi?

— Owszem, dosyć podobne, analogicznie przynajmniej, ale jak teraz ocenić mogę, brzydkie, odrażające i potworne, o zwierzęcych grzywach, skórze barwy krwi i błota, zagiętych, potężnych szponach, służących do szarpania i rozdzierania, oczach kulistych, błędnych, pełnych wyrazu nędznej trwogi lub okrutnego szczęścia.

Okolice zamieszkane są niekiedy tak przepelnione żywymi jestestwami, że w do-

linach ciasniejszych ciała wkońcu pomieścić się mogą jedynie skupione w nieruchomej, stojącej postawie, bez spoczynku ani zmiany położenia. Upływają dni i noce wszyscy stoją ściśnięci, zmęczeni tęsknotą; kości jednych wrastają w skórę i ciało innych, wkońcu krew popłynąć musi. Rozpoczyna się walka, pełna szalu i wściekłości; nieszczęśliwi szarpiają się wzajem szponami w kształcie sztyletów, uwalniając swoje ramiona, padają tysiące trupów. Rozkład jest natychmiastowy: po kilku godzinach ciała poległych zamieniają się w rodzaj krwawego błota. Ale nim dzień upłynie, z „organicznej miazgi“ wyrasta cały zasiew istot podobnych, choć słabszych. Wówczas horda silnych zwycięzców rzuca się na tę żywność, pożera młode, ciepłe ciała, a żądza krwi rozpala taką orgię, że planeta zdaje się ryczeć w przestrzeni.

— Ale zawsze znaczna liczba „młodych istot“ unika śmierci, rośnie z szaloną szybkością—i wszystko znów powraca do dawnego stanu. Urodzeni w takich warunkach mieszkańcy Tkoukry są bezpłciowi. Słodkie uczucia miłości są tam zupełnie nieznane; zdolni są tylko do nienawiści i trwogi. I może najboleśniejszą jest dla nich ta świadomość, że niegdyś... prawdopodobnie przed pozornym upadkiem, jakim jest stan teraz-

niejszy... i oni znali ciche upojenie, jakie daje podział uczucia, szczęście dziś niedostępne w ich warunkach. Te instynktowne wspomnienia przeszłości są dla nich przeżającą torturą. Czy dosyć ci dziś powiedziałem?

— O, tak!.. Dosyć! Okropności Tkoukry widzę już sam wyraźnie, wyryte w mym mózgu, jak mi przepowiedziałeś.

Nie mogłem spać tej nocy, prześladowany widziadłem gwiazdy z krwawego błota, o której nie chciałem rozmawiać, ale którą tak znałem, jak gdybym sam był Kmohounem o szponach w kształcie sztyletu, kulistych oczach i błędnem spojrzeniu, pełnem zielonych i czerwonych blasków.

IV.

Przeżyłem sześć miesięcy w martwe bezwładności, odzyskując chęć do życia w rzadkich chwilach, gdy uciszał się głos Kmohouna. Nieraz miałem nadzieję... to jest: usiłowałem mieć nadzieję, że byłem uwolniony od strasznego Tkoukryńczyka... czy też mego obłądu; gość nieproszony wtedy chciał się przekonać psychicznie, sam, o jakimś szczególe ziemskiego istnienia, i wtedy opuszczał mię. Ale upływała doba, dwie doby najwięcej, i „nienawistny przy-

jacieli” powracał, kiedy nawet nie przeczuwałem, że jest blisko.

Schudłem straszliwie, byłem coraz słabszy. Nie mogłem znosić dłużej tych podwójnych tortur: dom obłąkanych i gość w mojem ciele — chyba za ciężka próba na jednego neuropatę!

Uwolnić się od Tkoukryeńczyka nie miałem możliwości; czułem, że temu nie podołam nigdy; postanowiłem zatem uciec sam z zakładu.

Nie było to niepodobieństwem. Obchodzono się ze mną tutaj dosyć względnie, (umyślnie nie wspominam o Bid’hommié, do którego zaraz powrócę), stosunkowo korzystałem z dość znacznej swobody, a zbyt krótko znałem cudowną kobietę, której obłąd nawet miał dla mnie urok tak wielki, że w tem nieszczęściu jeszcze mogłem przy niej czuć się szczęśliwym. Ale dręczyły mnie noce okropne, ponure, pełne rozdzielających, rozpaczliwych głosów kobiet zamkniętych, sceny ohydne, widziane w podwórzu, kiedy chorzy istotnie stawali się dzikimi zwierzętami, wyjazd wreszcie Ireny z mojej własnej winy! Czyż z mojej winy? Wszystko to uczyniło mój pobyt w Vasselot okropnym i prawie niemożliwym.

Postanowiłem uciec, ale w jaki sposób? Rozważyłem nie wiem już ile projektów,

mniej więcej skomplikowanych, i wybrałem najprostszy.

Ale nim wytłómaczę to dokładniej, muszę (?) cofnąć się nieco, aby — Bóg wie dlaczego — opisać wizytę mego kuzyna, Roffieux'go, sceny poprzedzające wywiezienie „mojej księżniczki“, oraz niektóre „kawałki“, tyczące się Bid'homme'a.

Eleazar Roffieux miał odwiedzić mnie w poniedziałek po mojem przebudzeniu się w domu zdrowia, ale ukazał się dopiero w sześć tygodni po usunięciu mnie z „widowni świata“.

Wszedł bez zameldowania, czem okazał wielką roztropność, gdyż uprzedzony, mogłem przygotować mu przyjęcie o wiele gorsze, niż to, jakie go spotkało.

Zauważyłem zaraz, że troska o moją osobę nie zjadła go bynajmniej; był tak samo, jak dawniej, poważny, energicznie uprzejmy i kwitnący. Wyraziłem się: energicznie uprzejmy, zamiast przyjemny, gdyż nie była to naturalna, mimowolna, tryskająca z duszy uprzejmość. Eleazar przede wszystkim jest „człowiekiem obowiązku“, „człowiekiem charakteru“. Jest uprzejmy, gdy zechce, ale uważa to za pewne ustępstwa ze swojej strony. Jego dobroć jest obliczona, nie obdziela nią bez potrzeby. Uwydatnia ją, skoro uzna to za właściwe,

gdy uważa ten objaw za swój obowiązek. Płaci niekiedy ludziom tą monetą, ale oblicza jej wartość ściśle, skrupulatnie i termin wypłaty określa co do minuty.

Dzisiaj zbliżył się do mnie z dłonią wyciągniętą, z pobłażliwością w ruchu i spojrzeniu. Poważny uśmiech mentora poruszał lekko jego ciemne wąsy, spływające na ciemniejszą jeszcze brodę, z którą nie zlewały się razem. Jego twarz pełna, lekko różowa, dość ładnie odbijała od dystyngowanej bladości łysiny, o wyraźnych konturach. Ciemno-niebieskie oczy miały wyraz męczącej otwartości i blask niektórych sztucznych kwiatów. Przemawiał głosem mówcy, harmonijnym, głębokim:

— Więc znajduję cię tutaj mój biedny Filipie! Miejsce niezbyt wesołe, ale sposób życia służy ci tu widocznie, gdyż zauważono w stanie twego zdrowia znaczne polepszenie. Potrzebowałeś takiego wypoczynku.

Milczałem. On mówił dalej:

— W społeczeństwie „dobrze urządzonem,” w naszym życiu współczesnem, gdzie wszelki liberalizm równoważy nieugiętą sprawiedliwość, każdy musi zająć to miejsce, na jakie zasługuje, chociażby chwilowo, i znieść odważnem sercem wszelkie próby, nieraz twarde, ale niezbędne i dobroczynne w skutkach. Cóż powiesz o tym

zakładzie, w którym, daję ci słowo, nie pozostaniesz chwili dłużej nad konieczność.

— Jest znakomity doskonały! Nigdy go nie opuszczę!

Blask niepokoju zamigotał nagle w zbyt szczerych oczach nowożytnego apostoła, ale ciągnąłem dalej:

— Co do przykrości zaś, jaką odczuwasz, widząc mnie tutaj, mogę cię pocieszyć... choć właściwie z odwagą zadałeś sobie to cierpienie, zamykając mnie tutaj, bez względu na swoją czułość...

— Teraz, jak zawsze, twoje dobro tylko miałem na celu.

— Więc nie było dla mnie innego sposobu?

— Żadnego.

— Stałem się groźny, niebezpieczny?

— Z zasady w niczem nie lubię przesadzać: niebezpieczny zawsze byłeś jedynie dla siebie.

Zawahał się, wymawiając te wyrazy. Coś przede mną ukrywał,—nie przez delikatność, rzecz prosta,—znałem go za bardzo i widziałem go zawsze... pełnym taktu i skrupułów. W gruncie rzeczy frazesy, ale... Miał myśl jakąś, której nie mogłem przeniknąć, a która snadź go dręczyła, gdyż na chwilę wzrok jego przestał mię

przenikać olśniewającą, niežnością szczerością.

— Czy sobie nie przypominasz żadnego szczegółu z naszej ostatniej wycieczki do Dieppe? z ostatniego tygodnia, który ją poprzedził?—pytał głosem, przypominającym mi Bid'homme'a.—Czy w pamięci twojej nie została żadna okoliczność, która mogła mnie zaniepokoić i zmusić do przedsięwzięcia środków ostrożności, ażeby zabezpieczyć cię przed tobą samym?

— Nie przypominam sobie nic zupełnie, prócz błahej kłótni z tobą, którą sam i rozmyślnie wywołałeś. Szampan obficie krążył przy śniadaniu, a ty, trzeźwy zwykle, zwłaszcza wobec ludzi, zachęcałeś mnie jeszcze i zmuszałeś do picia. Czy dlatego, aby mi tutaj wyrobić opinię pijaka?

Wydawał się dotkniętym moją szorstką otwartością, a zarazem jak gdyby doznał pewnej ulgi. Jakiegoż więc wspomnienia lękał się z mojej strony?

Oczy jego stały się nienaturalnie pogodnemi i pełnemi pobłażliwego wyrzutu, gdy odezwał się znowu:

— Nie wyrabiałem ci żadnej opinii. O to sam się starałeś.

(W domu zdrowia, na czystej wodzie!)

— Zawsze ci mówiłem, że pijesz za dużo i że z tego powodu będziesz miał

przykrości. Ale nie o to chodzi. Więc z ostatniego tygodnia żadnych wspomnień nie zachowałeś?

A!... przypominam sobie! Na kilka dni przed mojem zamknięciem w zakładzie, byliśmy z Eleazarem i jego żoną w Casino. Spotkaliśmy tam podstarzałą damę, o manierach... nieco znużonych, widocznie z głową także zaproszoną, a w każdym razie nie zdającą sobie sprawy, że mój kuzyn jest w towarzystwie legalnej małżonki. Podziwiała piękność ujęła go za obie ręce i zaczęła przemawiać głosem drżącym i wzruszonym, przypominając rok 1892 i jakiś dom w Moskwie, pod numerem 455. Eleazar był klasyczny. Brutalnym ruchem otrząsnął się z nieproszonego uścisku i straciwszy zupełnie głowę, ten człowiek niewzruszony zaczął przemawiać mniej więcej w ten sposób:

— Jak się pani nie wstydzi... kobieta w tym wieku!... niepokoić człowieka, który mógłby być ojcem rodziny! W roku 1892 miałem właśnie zamiar się żenić. Nie znam pani! Nigdy pani nie znałem, i sama mi przyrzekała...

Nagle zrozumiał głupotę słów własnych i oniemiał. Natarczywa znajoma oddaliła się z miną obrażoną, ulżywszy sobie jednak gradem pięknych epitetów, które padły na

głowę nieszczęsnego Eleazara. Prawdopodobnie dekoracje i złocenia ścian Kasyno budziły w niej tyle szacunku, iż w zemście swej nie doszła do ostateczności. Ale Roffieux, obrzucony niezgodnemi z powagą jego zniewagami, pozostał przez cały wieczór w nastroju melancholijnym. Natomiast żona jego, zwykle budująca skromnisa, rozweseliła się skruszoną miną wzorowego małżonka i rzucała ciągle aluzje do jego „burzliwej młodości,” to znowu do „gorącego klimatu” Moskwy.

Śmiała się bezustannie, i udało jej się dostroić mię do swej bezmyślnej wesołości przez złośliwe pytania, na które umiałem odpowiadać żartem, z początku bez chęci żartowania i wyśmiewania kogokolwiek. A jednak Eleazar Sprawiedliwy przeciw mnie zwrócił urazę i niechęć, mnie prze-szywał pałającemi spojrzeniami.

Zacząłem śmiać się teraz na wspomnienie tej sceny.

— Czego się śmiesz? — spytał Roffieux z dziką prawie surowością.

— Nic, nic! Przypomniałem sobie tę głupią starą z Kasyna.

— Nie prawda! — przemawia groźnie Eleazar — przypomniałeś sobie co innego, i bawisz się moim kosztem... moim kosztem, łotrze!

— Czy tak? Kto wie, czy to nie ciebie należałoby zamknąć tutaj? Jesteś wściekły. Cóż ty sobie wyobrażasz?

Jego kosztem! Wyrażenie, doprawdy, wcale nie było trafne. Chociaż uboższy od niego, pożyczalem mu zawsze mniejsze i większe sumy, których mi nigdy nie zwracał. Dobro jego wszelkie szanowałem zawsze i, mówiąc słowami Pisma, nie pożałowałem nigdy jego wołu, ani osła, ani żony nadewszystko! O, za żonę dzięki stokrotnie!

I rzecz dziwna: w tej samej chwili, kiedy obraz tej niemiłej mi osoby powstał w moim umyśle, Eleazar uznał właśnie za stosowne zacząć o niej rozmowę, i to jakim tonem. Czyż mój uprzejmy kuzyn stał się nagle sędzią śledczym, powołanym do zbadania przestępcy, obdarzonego szatańską chytrąścią?

— Zapewne ci przyjemnie będzie się dowiedzieć,—cedził badawczo—iż żona moja bardzo interesuje się stanem twego zdrowia?

Oko jego przenika mię z uporczywością, której znieść nie mogę. Wpija we mnie źrenice. Staram się przypomnieć jakąkolwiek winę, choćby dlatego, aby zrobić mu przyjemność, ale uparte sumienie nie chce mi nic wyrzucać... Ach, ach!... to nie prawda. Czyżby Eleazar wyobrażał sobie, że mia-

łem jakie występne zamiary względem pani Roffieux? Może dla niego na tem polega mój obłąd? Ale w takim razie choroba moja nie istnieje! I nie istniała nigdy! Wobec takich podejrzeń powinien był odrazu obstałować mi klatkę w pawilonie furjatów! Ach, był wspaniałomyślny! Nie, nie... nie powinienem go o to posądzać. Dlaczegoż chcę go robić głupszym, niż zrobiła go sama natura? Nie chcę tego. To przywidzenie.

A jednak... słowo daję: czyta w moich oczach zmieszanie i niepokój, wyrzuty sumienia—i wzrok jego staje się coraz groźniejszy i gorejący zemstą. Ślicznie będę wyglądał!

Otwiera wielkie usta i przemawia tonem prowincjonalnego aktora:

— Ona jest tutaj!

Nie dodał: „Drżym, wiem wszystko!“—ale jest widoczne, że się spodziewa, iż upadnę na twarz, albo, jeśli jestem bardzo zatwardziały, zachowam się, jakby piorun strzelił o pięć centymetrów przede mną.

Ale miałem czas ochłonać z pierwszego wrażenia i wypowiadam: „Ach!“—tak obojętnie, że gniew Eleazara przechodzi w zdumienie. Doznał zawodu. Tak: zawodu. Odrazu jest uspokojony zupełnie.

Ale to nie trwa długo.

Wie zapewne z doświadczenia, jak chytry bywa „podły uwodziciel“, więc tonem bardziej jeszcze melodramatycznym, z ponurą stanowczością oznajmia mi groźnie, że idzie po nią. Chce, aby mię zobaczyła i abym ją widział. Scena konfrontacji.

A więc to zwierzę jest większym łotrem niż myślałem: on wiedział, przywożąc mię tutaj, że nie byłem warjatem, choć sam temu wierzyłem chwilami. I dlat się nie ośmielił mnie uwięzić, dopóki pomocą alkoholu nie doprowadził do stanu zupełnej zwierzęcości i nieświadomości. Wprawdzie w kilka dni potem przybył do zakładu, ale wiedział wówczas, że jestem pogrążony we śnie, który nastąpił, według niego, po ataku. Wszedł więc do „niebezpiecznej jaskini“ po części dla zachowania pozorów troskliwości krewnego, a po części uspokoiony przeświadczeniem, że w najgorszym razie nie będę miał siły ruszyć ręką, ani nogą.

Odtąd nie pokazywał się już aż do dzisiaj, zaniepokojony zbyt pomyślnymi wieściami o stanie mego zdrowia. Istotnie odzyskałem siły w znacznej mierze i mogłem ich nadużyć, sprawiając mu dobrze zasłużoną łaźnię. Ale zazdrość ciągnęła go i zaślepiała. Jej dziełem była dzisiejsza wizyta: chciał raz wiedzieć, czego się trzymać, i po

to musiał przybyć do Vasselot osobiście. Zazdrość! Doprawdy, słabe miał wyobrażenie o moim zmyśle estetycznym! Co prawda, pani Roffieux, skuzynowana ze mną przez małżeństwo, okazywała mi w ostatnich czasach niezwykle względy i życzliwość. Niewdzięczny! Dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę i nie mam żadnych wyrzutów sumienia z powodu swej niedomyślności.

O, tak! zazdrość pracowała skutecznie w umyśle Eleazara. Czy żona jego, zajęta kim innym, chciała za pomocą intryg doprowadzić go do rozwodu? A jeśli rzeczywiście to było jej celem? Jeśli pragnęła zrobić mię legalnym władcą nie tylko jej mało pożądanых wdzięków, lecz bardzo, bardzo pięknej kolekcji biletów bankowych, akcji, oblikacji, i tych wszystkich cudnych papierów, o których nikt nie zapomina, jeśli miał szczęście być choć na chwilę prawym ich posiadaczem, i których strata pogrąża na zawsze w żałobie serce rozsądnego człowieka!

Z jakimże tryumfem opuściłbym wtedy zakład doktora Froin'a, pozbawiając Eleazara wszelkiej radości ziemskiej! Zostałyby mu tylko oczy do płakania i jakieś nędzne trzydzieści tysięcy rocznej renty, dochód z majątku niewielkiej wartości. Któż bez

walki zgodziłby się na podobną klęskę? Cóż ryzykował wobec tej obawy, wchodząc tu, aby wy badać mię przedtem, nim przyjdzie do osobistej konfrontacji ze współniczką? Kilka uderzeń nogą? Brutalne zetknięcie z mym butem? Nie miałbym nawet czasu wyrządzić mu krzywdy, gdyż drzwi zostawił za sobą otwarte, i słyszałem wyraźnie w korytarzu przyciszone głosy dozorców.

Eleazar, człowiek poważny, wróg wszelkich zewnętrznych objawów uczucia, wyszedł, gestykulując, jak zwykły śmiertelnik.

W pięć minut potem ukazał się znowu, ciągnąc za sobą wysoką i chudą kobietę, młodą ale nie ładną. Zbyt jasna blondynka, barwy pośredniej między lnem a świeżem masłem, o niebieskich spłowiałych oczach i twarzy lalkowatej. Widoczne było, iż sama uważa się za piękną, dystyngowaną, nawet poetyczną, ale stale przybrany wyraz obrażonej skromności czynił ją odpychającą i brzydką.

Raula Roffieux, z domu Fromage! Tak: Raula!

Czyż rzeczywiście niektórzy rodzice nie zasługują na surową karę, ośmieszając własne dzieci imionami dziwaczными i niemiłymi dla ucha?

Raula!.. Raula Roffieux była córką kupca, milionera, handlującego nawozami, i podżytej aktorki, sławnej w swoim departamencie. Wykształcenie otrzymała zupełnie specjalne: do lat dziewiętnastu uczęszczała na „kursy młodych panien,” i brała lekcję „zachowania się w towarzystwie” od bardzo eleganckiej „profesorki,” która prawdopodobnie uczyła się manier wielkoświatowych od felczerów, operujących nagniotki, i kształciła krasomówstwo, słuchając przemówień dentystów amerykańskich, oraz wynalazców wszelkich „cudownych środków.”

Gdy papa Fromage zaopatrzył kieszeń dostatecznie we wszelaki cenny kruszec, uznał za stosowne opuścić prowincję i wystąpić na szerszej arenie działania. W tym celu sprzedał starą firmę „sztucznych nawozów,” i Raula mogła ukończyć nauki w Paryżu, pod kierunkiem pewnej księżniczki rumuńskiej (?), niegdyś laureatki konserwatorjum w Vierzon, wygwizdanej na wielu scenach, która zajęła w końcu stanowisko przełożonej wzorowego zakładu dla panien. Do szkoły tej przyjmowano dopiero od lat szesnastu na wykłady „filozofji salonowej,” „wytwornego obejścia,” „godności w dobrym tonie” i t. p. nauk, które ze sztywnej Rauli zrobiły lalkę mechaniczną. Sprawiała też na ludziach, stosownie do

temperamentu, wrażenie ogłupiającej doskonałości, lub budziła nieposkromioną chęć spoliczkowania.

„Instytut Barbaresco“ ukończyła z odznaczeniem, z nagrodą honorową za rozprawę: „O szczeroci osłonionej“, z listem pochwalnym za „Gesty, utrzymujące w oddaleniu,“ i z drugim listem pochwalnym za „Uprzejmość w swem otoczeniu.“

W zakładzie rumuńskiej księżny jedynem uznaniem cieszyła się wymowa, używana w Vierzon. W drukowanym programie zakładu znajdowała się odrazu teoria samogłosek, spółgłosek i ich wymawiania, której tu szczegółowo przytaczać nie będę. Muszę zresztą przyznać otwarcie, że nigdy nie rozumiałem jej dokładnie. „Wymowa racjonalna“ była także zawsze słabą stroną Rauli, której ucho niemuzyczne nie umiało rozróżniać subtelności dźwięków, a pragnąc obok tego zachwycać harmonią i dystrykcją głosu, wpadała w coraz większą przesadę, wymawiając prawie wszystkie samogłoski dźwiękiem a, z ustami otwartymi, dodając bez potrzeby h, lub zastępując niem inne spółgłoski.

Tym sposobem zawdzięczałem księżnie Barboresco piękny frazes, którym powitała mnie kuzynka, stając obok mego łóża, lekko zarumieniona aż po blado-żółte włosy:

— Nie możesz wyabhazić sobie, kachany kazynie, jaką dla mnie była przykhaścią myśl o twajem zamknięciu w tym akhapnym zakładzie daktaha Fhain'a!

Eleazar śledził nas okiem surowem, i wybornie zdawałem sobie sprawę z jego wrażeń. Nie miał nas dotychczas w rękę! Zmieszanie i rumieniec Rauli można było bardzo łatwo wytlómaczyć strojem nie bez zarzutu, i sam to rozumiał, że musiało ją kosztować wiele ukazanie się w sukni cokolwiek pomiętej, bucikach spacerowych i niezupełnie odpowiednim kapeluszu. Ale głos jej nie zadrzał; mówiła spokojnie, akcentując wyrazy i sylaby, jak zwykle.

Co do mnie, obojętność przechodziła prawie w zuchwalstwo. Odpowiedź moja brzmiała aż lekceważąco:

— Dziękuję ci, kuzynko, za niepokój z mego powodu, ale ten zakład nie jest wcale smutny, a tembardziej okropny. Bardzo mi tutaj dobrze. Spotkałem wiele osób niezmiernie przyjemnych.

„Czyżby naprawdę zwarjował choć trochę, że znajduje przyjemność w takim towarzystwie?—myślał Eleazar. — A może udaje?”

Przedewszystkiem chodziło o to, czy jesteśmy „w porozumieniu” więc postanowili dość naiwnie wystawić nas na nową próbę:

— Jakże chłodno się witacie! — zawołał zgorszony. — W kuzynowstwie tak nie wypada: nie podaliście sobie nawet ręki!

Więc na tem nas chce „złapać!“ Chwila wahania, uścisk zbyt długi lub krótki, za silny lub za miękki ma odsłonić mu zdradę, jeśli istnieje zdrada.

Ale nasze podanie dłoni nic nie mówi. Zwyczajny uścisk krewnych przez powinowactwo i nic więcej. Roffieux nie uspokaja się jednakże; jest roztargniony, ogłupiały.

Nagle w oczach jego błysnęła energia: zbliża się do mnie z rękoma w kieszeniach, ramionami w górę, głową podniesioną i wyrazem nieufnej stanowczości, który mi mówi, że zaczyna grę poważną.

— Mój kochany, — przemawia — widzę, że masz się rzeczywiście lepiej. Nie myli się doktor Froin. Niewątpliwie chciałbyś już ten dom porzucić, i wstyd byłoby trzymać cię tu dłużej, niż rzeczywista potrzeba wymaga. A z drugiej strony jeszcze przez czas dłuższy będziesz potrzebował starań i opieki. Silne wstrząśnienia, jakie twój organizm przeżył w ostatnich czasach, zostawić musiały ślady, i samotność w obecnym stanie nie byłaby dla ciebie korzystną, ani pożądaną towarzyszką. Ale w tej chwili przyszła mi na myśl kombinacja, która mogłaby ci powrócić wolność, — nie na-

tychmiast, ma się rozumieć — musisz trochę przyjść do siebie... Swoboda jest najpewniejszą podstawą uczuć trwałych i szczerych. Mówilem nawet o tem już z jedną osobą, bez której zezwolenia obejść się nie można. Wiesz, że Janina Stoltz, która wyszła za Lacoste'a od roku została wdową, i znasz przecie cokolwiek oryginalny charakter tej najlepszej z kobiet, szlachetnej, ładnej i bogatej.

Powiedział to z naciskiem i milczał przez chwilę, zostawiając mi czas na rozważę.

— Zapewne przypominasz sobie, — ciągnął dalej — co skłoniło ją do zawarcia pierwszego małżeństwa z człowiekiem nie piękniejszym od goryla, z usposobienia przypominającym brunatnego niedźwiedzia. Nie miłość tego szaleńca trafiła jej do przekonania, lecz słowa jednego z przyjaciół Lacoste'a, który się wygadał w przystępie szczerości, że Ferdynand dotknięty jest ciężką chorobą chroniczną i nieuleczalną, a przeszła jego żona byłaby właściwie siostrą miłosierdzia. To wzruszyło ją tak głęboko, iż podjęła się smutnej roli, i pięć lat wytrwała w niej przykładnie. Tym, którzy znali, a chociażby krótko widzieli jej małżonka, wydawało się to cudem. Ta kobieta jest czemś więcej, niż siostrą miłosier-

dzia: ona jest przyjacielem cierpiących. Jej tkliwość wyrażała się w ciepłych okładach i podawaniu lekarstw. Dla ciebie może zmienić trochę program, gdyż okładów nie potrzebujesz, ale pod jej okiem będziesz mógł prowadzić życie systematyczne, które uspokaja nerwy. To dla niej powołanie, które kocha szczerze.

W jakiż piękny sposób umiał to powiedzieć!

Joanna Lacoste była niegdyś moją namiętnością! I gdyby nie „księżniczka“ z cerą różowego hiacyntu, pokusa byłaby istotnie dość silna. Dlaczego nie powiedzieć: „tak“ Eleazarowi, a potem rozmówić się szczerze i otwarcie z tą najlepszą z dobrych, Joanną? Ona doprawdy gotowa mi dopomódz sama do uwolnienia nieszczęśliwej Ireny i przywrócenia jej zdrowia!...

Roffieux — to rzecz widoczna — zamknął mnie jedynie pod wpływem zazdrości i niewątpliwie uwolni mnie zaraz, jeśli się przekona, że jestem zajęty kim innym, nie jego żoną, a tembardziej kobietą bogatą i chojną. Mój kuzyn lubi pożyczać w rodzinie, a Joanna nie odmawiała mu nigdy na wielkie przedsięwzięcia przemysłowe, lub rolne. To człowiek bardzo zdolny, nie ogranicza się jednym zawodem, wszędzie próbuje szczęścia. Ale w interesach mniej pe-

wnych przezorność nakazuje mu oszczędzać kapitały Rauli i własne, i woli wtedy ryzykować sumy pożyczone od ludzi dobrej woli i szlachetnego serca, którzy, w razie nieszczęścia, poddadzą się losowi z rezygnacją.

Może jutro mógłbym być wolny! Więc zgodzę się natychmiast, przyjmę propozycję i całą zemstę zamknę w ironicznej trochę odpowiedzi. Ta chęć zemsty jednakże stała się mojem nieszczęściem, gdyż nim przygotowałem swoją zatrutą strzałę z gęsiego pióra, umaczaną w roztworze mej głupoty, o małżeństwach dla majątku i „małżeństwach leczniczych,” wszedł Leonard, zapowiadając odwiedziny doktora Froin'a.

Teraz Roffieux nie słuchał mojej odpowiedzi. Zwykłym ruchem wyciągnął i poprawił mankiety, pogładził ręką brodę i grzebykiem, który wy dostał z kieszonki, zaczął przed lustrem układać fryzurę, najodpowiedniejszą dla „znakomitego agronoma.”

Z tej krótkiej chwili skorzystała Raula, przysunęła się bliżej i szepnęła cicho, bardzo prędko i wyraźnie:

— Odmów! To szantaż! Zmusił panią Lacoste do przyjęcia tej propozycji! Potrzebuje jej pieniędzy! Coś wie o niej... powiem ci!

Cała moja radość zgasła w mgnieniu oka. Pozostanę więc więźniem, gdyż nie chcę się uwolnić, jako współnik niegodziwca,

wyzyskującego kobietę, którą niegdyś kochałem.

Kiedy Eleazar odwrócił się wreszcie, zadowolony ze swojej koafiury, i ujrzał nas w odpowiedniej odległości. Podejmując myśl swoją, rzucił mi pytanie z miną pewną, tryumfującą:

— Cóż mówisz na mój projekt? Nie ponętny? Zgadzasz się? nie prawdaż?

Odpowiedziałem z prawdziwą przykrością:

— Nie mam najmniejszej chęci do małżeństwa i nie związę się nawet z tak zachwycającą dozorczynią chorych, jak pani Lacoste!

Raula spojrzała na mnie, i Roffieux pochwycił to spojrzenie. Nie był to na nieszczęście „czuły“ wzrok zakochanej, ale coś bez porównania gorszego. W bladych źrenicach tej „wzorowej damy“ błysnął płomyk zuchwały i wyzywający, jakiego nie widziałem w nich dotychczas. To spojrzenie doświadczonej rozpustnicy.

Mąż zbladł. Rozdęły mu się nozdrza. Nastąpiło milczenie, które trwało kilka sekund, a zdawało się trwać przynajmniej kwadrans. Nakoniec Eleazar głos odzyskał i zadeklarował tonem wielkiego tragika:

— Kładź rękawiczki, Raulo — mówię ci: — kładź rękawiczki! Chodźmy stąd. Pó-

žno. Z doktorem Froin'em pomówimy w gabinecie. Dowidzenia, Veuly! Chodźmy, Raulo, proszę pani! Chodźmy!

Mówi do niej zawsze: „pani,“ jak księżeta i „inżynierowie z romansów,“ „ludzie światowi.“ (?)

Ale doktor wszedł właśnie w chwili, kiedy Eleazar żegnał mię ruchem ręki, mogącym oznaczać zarówno „Do widzenia, fałszywy przyjacielu!“ jak: „Spotkamy się jeszcze, łotrze!“

Ojciec Froin miał swój zwykły wyraz twarzy: naturalny, trochę nieśmiały, jak ludzie prawdziwie szczerzy, tak różni od „wyzywających zuchwalców,“ którzy grają tylko komedję szczeroci. W jego oczach nie było blasku obłudnej prawości; patetyczne ruchy nie osłaniały fałszu. W spojrzeniu malowała się dobroć, prostota i nieco smutku, zwykły wyraz znużonych bolesną farsą ludzkiego żywota.

Natychmiast zauważyłem, że nie ma dla Eleazara sympatji. Raulę powitał krótkim, bardzo grzecznym ukłonem, bez cienia uniżoności, ukłonem człowieka wolnego, dalekiego od hypokryzji salonów.

— Rozmawiałeś pan trochę z krewnym — rzekł do Eleazara uprzejmie, ale

bez serdeczności. Cóż pan powiesz o jego zdrowiu?

Jasne, błękitne oczy „prawego człowieka“ zasępiły się nagle; na twarzy odmalował się wyraz poważny głębokiego cierpienia i męskiego hartu.

— Niestety! — usłyszałem z najwyższym zdumieniem: — nie mów o tem, doktorze. Niedobrze się miewa, jak widzę, zupełnie niedobrze!

Raula zdawała się być przestraszona tą bezczelnością, ale nie śmiała przemówić.

— Dziwią mię pańskie słowa — odezwał się doktor: — pan Venly dziś od rana był w najlepszym usposobieniu i zupełnie spokojny.

— Być może, ale obecnie nie byłeś pan świadkiem naszej rozmowy. Rzadko go widywałem w takim stanie rozdrażnienia, — taki rozstrój wymaga nieskończonych starań, niewyczerpanej troskliwości.

— O to możesz pan być spokojny... Ale czy to podobna, aby moja obecność uspokoiła go znowu tak nagle? Nie jestem cudotwórcą, ani magnetyzerem... może — niestety!...

Z wesołą ciekawością malarza-badacza studyującego charakter modelu, doktor uważnie wpatrzył się w Eleazara, który w mgnieniu oka rozjaśnił oblicze tak pro-

mienną szczerością, iż psychiatra aż spuścił wzrok z przykrą niechęcią.

— Jakim sposobem — zwrócił się wprost do mnie — mogłeś pan tak odrazu stać się podnieconym, gwałtownym, podczas wizyty krewnego? Wyglądasz pan spokojnie, naturalnie.

Spostrzegłem w jego rysach nagły wyraz niepokoju: powieki zlekka drgnęły i opadły, lewa część twarzy drgnęła także kilkakrotnie.

— Powiedz mi pan z ufnością, — ciągnął dalej ojcowskim tonem — czy nie doznałeś znowu... tych chorobliwych obaw... którym podległeś podczas pierwszej mej wizyty. Nie wspomniałeś o tem później ani razu, chociaż pytałem nieraz... Rozumiesz pan, o co mi chodzi?

Chodziło mu najwidoczniej o ten głupi okrzyk: „Ktoś mieszka we mnie, jak robak w owocu!” — ale wobec Eleazara nie chciał wyrazić się jasno, aby mu nie dostarczać broni przeciw mojej osobie.

Na szczęście, Kmohoun raczył zachowywać się całkiem spokojnie, i mogłem odpowiedzieć z najzimniejszą krwią i swobodą: — Żadnych obaw nie doznawałem od dawna. Wówczas — nic dziwnego — byłem po takim wstrząśnieniu, iż nie wiedziałem, co mówię... Pan sam wiesz o tem najlepiej!

— Bardzo rad jestem temu! — zawołał radośnie — i słucham z przyjemnością. To nie jest odpowiedź człowieka chorego, panie Roffieux! — dodał z takim zadowoleniem, iż doznałem szczerych wyrzutów sumienia z powodu swej obłudy... co prawda, z konieczności.

— W każdym razie — nalegał Eleazar trochę sucho — nie zaszkodzi zająć się nim z podwójną troskliwością. Ja pragnę, żeby wyzdrowiał naprawdę.

— Od lat trzydziestu pięciu — odparł z naciskiem doktor — zajmuję się... chorobami nerwowymi i mam prawo zapewnić pana, że można mi powierzyć pacjenta bez obawy. W przedłużaniu kuracji nie mam interesu, przeciwnie nawet... A w tym przypadku zupełne wyzdrowienie jest już bardzo bliskie.

— Mansz maj ani na chwilę nie zwantpił, dachtarze, a pańskiem daświadczeniu i umiejętności — zauważyła Raula wysokim sopranem, zdając sobie sprawę z niezręczności męża. — Chciał powiedzieć właśnie, że paleca go panu da chwili zupełnego wyzdrowienia, gdyż abecnie nasz kuzyn jest widacznie bahdzo wyczehpany i zmęczany.

I wyszli razem, żegnając doktora ukłonem, a mnie lekkim dotknięciem dłoni. Dok-

tór odprowadził ich z wielką grzecznością, a następnie wrócił do mego pokoju. Czas jakiś nic nie mówił; potrzasał głową z miłą skłopotaną, z wyrazem mimowolnego niesmaku, namysławiając się nad czemś w skupieniu.

— Czy państwo Roffieux są jedynymi krewnymi pana? — zapytał mię nagle.

— Nie, mam brata; mieszka niekiedy w Paryżu.

— Doskonale. Dlaczegoż dotychczas nic mi pan o tem nie mówiłeś? Z nim muszę się porozumieć, niezaś... z tymi! Proszę o adres! muszę do niego napisać... i bądź pan dobrej myśli!

Dobrej myśli! Zapewne. Na nieszczęście, brat mój podróżował często, sam lub z żoną. Był w domu, czy Egipcie, albo Indjach? Kiedy odbierze list doktora Froin'a? A gdyby nie przestroga, czy też kłamstwo (?) Rauli, stałbym napewno przed progiem wolności...

Wieczór spędziłem smutny; rozerwał mię trohe Leonard, opowiadając o miłości jednej z dozorczyń, zakochanej w Bid'home'ie. Ale mordował mię Kmohoun, zachęcając do ucieczki jak najprędzej, i grożąc, że mi spleta „pięćset figłów!”

KONIEC CZEŚCI DRUGIEJ.

